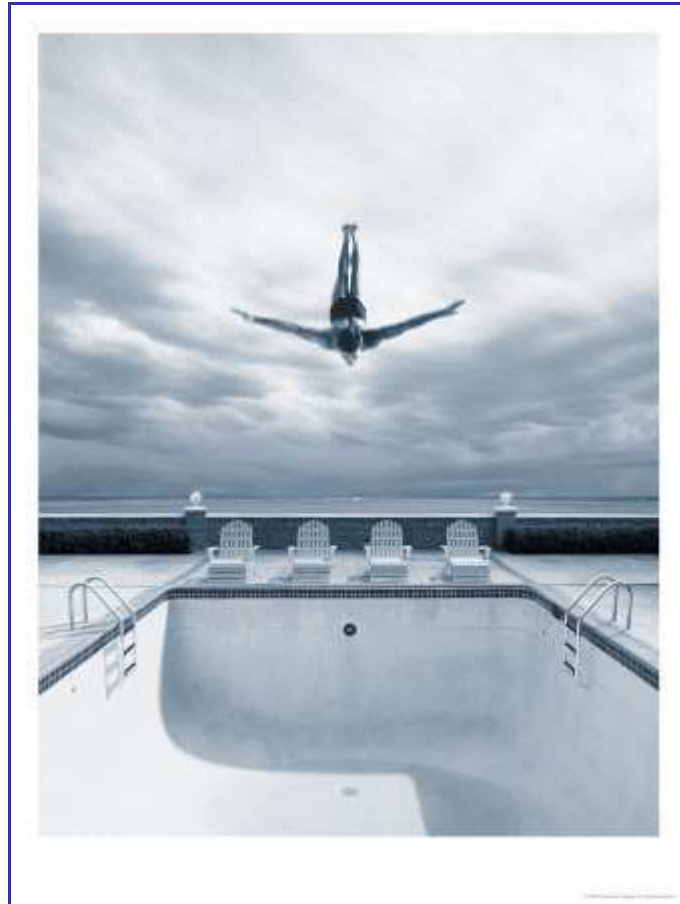


Fred Apke
Marta Klubowicz

LETNISKO



Osoby:

Reizschneider - bardzo znany aktor. Pod pięćdziesiątkę.

Wolkowski- jego stały partner sceniczny. Po czterdziestce.

Pan Specht - właściciel fabryki pieluszek. Po pięćdziesiątce.

Pani Specht - jego żona. Po czterdziestce.

Margit – siostra pani Specht. Trochę młodsza.

Pani Düsseldorf – przyjaciółka Pani Specht. Po czterdziestce.

Boll – publicysta. Po pięćdziesiątce.

Flapke - dramatopisarz. Przed trzydziestką.

Carmen – gospoia. Dwadzieścia parę lat.

Miejsce akcji: Taras i ogród willi nad morzem.

Czas akcji: Ostatnie albo przyszłe lato.

HASŁA DO POSTACI:

MARGIT

Sarkastyczna siostra pani Specht, na łasce siostry. Nienawidzi świata nadzianych forszą ludzi, ale jest na ten świat skazana. Ukrywa się ze swoim pisaniem. Przyciągają się wzajemnie z Reizschneiderem, ale toczą ze sobą wojnę.

REIZSCHNEIDER

Znany aktor. Przystojny, zapijaczony, sławny również z licznych romansów. Na początku drogi, jako utalentowany młody człowiek pałał prawdziwą miłością do sztuki, ale szybko się skorumpował robiąc rzeczy płaskie i nic nie warte. Rozpaczliwie chcąc się wzbogacić robił niewłaściwe, naiwne inwestycje finansowe. Kupił knajpę, w której sam był najlepszym stałym klientem. Stracił wszystkie pieniądze. Za pijaństwo został właśnie wyrzucony z popularnego telewizyjnego serialu.

WOLKOWSKI

Zaufany przyjaciel Reizschneidera, „matka” , ale nie partner życiowy, bo Reizschneider nie jest homoseksualistą. Długie lata razem na scenie i jako nierozłączny duet w telewizji. Zagubieni w świecie i zagubieni w sobie. Troszczy się o swojego przyjaciela, próbując odciągnąć go od picia.

PANI SPECHT

Kolejna - młoda żona pana Spechta. Z nudów chce się poświęcić sztuce. Zafundowała sobie prywatnego nauczyciela literatury, usiłuje zbliżyć się do „wielkiego świata”, przecenia swoje intelektualne możliwości.

PAN SPECHT

Cieszący się prawdziwym sukcesem przedsiębiorca. Pochodzi z biednej rodziny i bardzo często wszystkim o tym przypomina. Jest mądry, inteligentny, ale nie jest zbyt wykształcony. Towarzystwo go przerasta – lub po prostu mierzi. Unika ogółu. Stara się grać w golfa - którego tak naprawdę nienawidzi, ale robi to, bo taka jest moda. Nudzi się śmiertelnie - spędzanie urlopu napawa go wstrętem. Ciągłe szuka sobie nowych zajęć.

BOLL

Zarozumiały publicysta „pianobijec”. Przechadza się z książką i wciąga wszystkich obecnych w absurdalne dyskusje. Czuje się jak intelektualny Tytan. Koleguje się jedynie z Flapke – „jego kaliber”. Walczy z Reizschneiderem o łaski pani Specht. Oferuje jej swoje walory, ale odchodzi z kwitkiem. Gada w kółko o haniebnym kapitalizmie, z którego sam korzysta ile się tylko da. Pisze również krytyki teatralne.

FLAPKE

Młody, niezdolny, ale nie pozbawiony wrażliwości dramaturg. Prowadzi snobistyczne artystyczne życie. Cierpi z powodu zła na ziemi - czuje się buntownikiem - ale poza mieleniem ozorem nie robi nic. (Osiągnął już jeden „sukces” u krytyki, a właściwie u Bolla). Nie chce zgodzić się na obsadzenie w jego sztuce Reizschneidera i Wolkowskiego (za starzy i wypaleni), jednak za radą Bolla decyduje się „połknąć żabę”. Jego teksty są koszmarne przegadane i modnie kiczowate.

PANI DÜSSELDORF

Egzaltowana przyjaciółka Pani Specht. Wszystkich obgaduje. Wdowa poszukująca nowej ofiary. Zamecza wszystkich wychwalając pod niebiosa swojego zmarłego męża. Głodna miłosnych przeżyć. Bacznie obserwuje początek flirtu swojej przyjaciółki z Reizschneiderem i cały czas chce być na bieżąco. Podrywa Bolla, którego początkowo drażni. Jednak, gdy ten dostaje kosza od Pani Specht – wskakuje z nią do łóżka.

CARMEN

Gospoia. Młoda, ładna, inteligentna, uczciwa.

Górna część sceny przedstawia tylną ścianę letniskowej willi Państwa Spechtów, od strony morza. Po prawej i lewej stronie dróżki, z których jedna wiedzie do basenu, a druga do garażu. Tył domu jest przeszklony. Przez rozsuwane drzwi widać wnętrze. Na pierwszym piętrze znajduje się balkon należący do pokoi gościnnych. Na tarasie, który rozciąga się na całą szerokość domu stoją leżaki, parasole i przenośne stoliczki. Na lewo z przodu stolik, gdzie letnicy częstują się ciastem i napojami chłodzącymi. Z lewej taras wykończony jest kiczowatą marmurową barierką, nieudolnie imitującą antyczny styl budowlany. Niewielki, zaniedbany ogródek z paroma krzaczkami schodzi do drugiego tarasu, na którym, jako jedyny mebel stoi hollywoodzka huśtawka. Ten taras kończy się murkiem oddzielającym ogród od plaży. Trzy schodki i schodzi się do morza.

I Akt

MARGIT stoi na górnym tarasie z małą kamerą w ręce filmuje morze. Pani Specht odpoczywa na leżaku i usiłuje czytać. Obok niej stos książek.

MARGIT kieruje kamerę na Panią Specht.

PANI SPECHT: Przestań. Jestem bez makijażu.

MARGIT: To właśnie czyni cię interesującą.

Cisza.

PANI SPECHT: Dobrze, że tutaj jesteś. Dogadamy się jakoś.

MARGIT: Z pewnością. Łagodnieje się na starość.

PANI SPECHT: Nie czuję się jeszcze staro.

MARGIT: Ale ja tak, a jestem od ciebie młodsza.

PANI SPECHT: To twój problem.

Specht wchodzi do ogrodu.

MARGIT: Dzień dobry, drogi Gerhardzie.

SPECHT: Dobry.

MARGIT wchodzi do domu.

PANI SPECHT: Co się dzieje? Dobrze się czujesz?

SPECHT: *Bezgłośnie.* Wspaniale. Całkiem fantastycznie...

PANI SPECHT: Wyścig się już skończył?

SPECHT: Twoja przyjaciółka dosiadła się do mnie.

PANI SPECHT: Stara się tylko być dla ciebie miła.

SPECHT: Wielu jest dla mnie miłych.

PANI SPECHT: Gerhard, mogę ci coś powiedzieć?

SPECHT: Bardzo cię proszę.

PANI SPECHT: Źle wyglądasz w dzinsach.

SPECHT: Mam urlop.

PANI SPECHT: A poza tym – mamy gości.

SPECHT: Mam urlop!

PANI SPECHT: Kochanie – proszę. Wyluzuj.

SPECHT: Tak. Bo przecież mam urlop!

Cisza.

PANI SPECHT: A może zrobisz sobie przejażdżkę twoim nowym samochodem? Hm?

SPECHT: GPS nie działa. Nie mam ochoty jeździć zepsutym samochodem. To mi psuje humor.

PANI SPECHT: Tak czy siak masz zły humor.

SPECHT: *Z naciskiem.* A tak! Żebyś wiedziała! Za dużo tu ludzi. Cały dzień tylko: Dzień dobry – Dobry wieczór – Smacznego! – Czy zechciałby pan? – Czy ma pan? – Czy może pan? I jeszcze dwóch nowych przyjedzie... Wspaniałe perspektywy... To mnie naprawdę świetnie nastraja!

PANI SPECHT: Gerhard, proszę cię – weź się w garść. Ten projekt jest dla mnie bardzo ważny.

SPECHT: Dla mnie jest drogi.

PANI SPECHT: Dawno się tak dobrze nie czułam .

SPECHT: Jeśli to dla ciebie ważne... Jeśli będziesz się lepiej czuła – A nawet dobrze się czuła...

PANI SPECHT: Ostatnio nawet się czuję bardzo dobrze.

SPECHT: To znaczy, że pieniądze są bardzo dobrze ulokowane. Co tam czytasz?

PANI SPECHT: Dostojewskiego.

SPECHT: I co? Zabawne?

PANI SPECHT: Deprymujące.

SPECHT: To po co czytasz takie dyrdymały?

PANI SPECHT: Dyrdymały...

SPECHT: Myślałem, że właśnie dobrze się czujesz?

PANI SPECHT: To jest światowa literatura.

SPECHT: Co mi ze światowej literatury, jak potem ma mi być gorzej?

PANI SPECHT: W każdym razie robię coś dla siebie – podczas gdy ty wystajesz po kątach.

SPECHT: Mam urlop!

Cisza.

PANI SPECHT: To idź sobie pograć w golfa. Hm?

SPECHT: O, nie... Tam się szwendają same takie typy jak ja.

PANI SPECHT: Szwendają się typy... szwendają typy...

SPECHT: Nie podoba ci się jak mówię?! Niestety nie miałem czasu na naukę.

PANI SPECHT: Tak, twój ojciec był biednym stolarzem, który miał jedną sparaliżowaną rękę i ledwie mógł utrzymać rodzinę.

SPECHT: A –

PANI SPECHT: A początek twojego majątku, to obrączki rodziców.

SPECHT: Tak było. Ty siedzisz tutaj sobie w nowej sukience, ponieważ ja sprzedałem obrączki moich rodziców i gdybym ich nie sprzedał, to siedziałabyś sobie gdzieś nad morzem, w nowej sukience – z kimś zupełnie innym.

Pani Specht zatrząskuje książkę.

PANI SPECHT: Mówisz poważnie?!

SPECHT: *Bezgłośnie.* Nie. Oczywiście, że nie. Przecież cię Kocham. Kocham cię. Kocham cię. Kocham cię.

PANI SPECHT: Z tym zdaniem trzeba obchodzić się ostrożnie.

SPECHT: Czasami nie dość je powtarzać.

Pani Duesseldorf wychodzi z domu. Właściwie, to chciałbym być sam.

PANI SPECHT: Mam teraz wyjść, tak?

SPECHT: Daj spokój. Zrobię to dla ciebie. - Ach Lydia, tak bym zjadł dzisiaj na obiad befsztyka...

PANI SPECHT: Będą befsztyki, kochanie.

SPECHT: Przynajmniej coś, na co się mogę cieszyć.

PANI SPECHT: I zrób coś. Zabierz się za coś, hm?

SPECHT: O.K. Wezmę się. Wezmę się.

Człapie w lewo za dom.

DUESSELDORF: Co mu jest?

SPECHT: Kłopoty sercowe.

DUESSELDORF: Mieliście jakąś rozstrzygającą rozmowę?

SPECHT: Tęskni za firmą.

DUESSELDORF: Mój mąż umarł w firmie. O trzeciej nad ranem.

Cóż za piękny dzień. I ja w środku tego piękna. Dziękuję ci, że mogę tutaj być.

PANI SPECHT: Należysz do rodziny.

Pani Duesseldorf macha ręką.

DUESSELDORF: Patrz - pan Boll! Hop, hop! HUUUUUUUU! HUU! Hop hoooooooooooooooooooooop?!!!

PANI SPECHT: Zachowujesz się jak pensjonarka.

DUESSELDORF: Człowiek ma tyle lat, na ile się czuje. Ty widziałas jego ręce? Takie wąskie i takie szczupłe...

PANI SPECHT: Za małe. W porównaniu z głową.

Idzie do stolika i niczym chomik wypycha sobie ciastem policzki.

Jeszcze raz macha.

DUESSELDORF: Szkoda... to niestety twoje terytorium.

PANI SPECHT: Ja kocham mojego męża.

DUESSELDORF: Przepraszam. Zapomniałam.

Pani Dusseldorf chce popchać drugim kawałkiem ciasta..

PANI SPECHT: Ile dzisiaj ważysz?

DUESSELDORF: Osiemdziesiąt pięć.

PANI SPECHT: Wczoraj było jeszcze osiemdziesiąt cztery.

Dusseldorf odkłada ciasto.

DUESSELDORF: Ach, ciężko jest być samą. Kiedy oczekujesz pana Reizschneidera?

PANI SPECHT: Koło południa.

DUESSELDORF: I wcale się nie denerwujesz?

PANI SPECHT: Ty mnie denerwujesz.

Na dole, pod murkiem pojawia się Boll, myśli, że następne słowa dotyczą jego osoby.

DUESSELDORF: Interesujesz się nim?

PANI SPECHT: Ten mężczyzna jest wielkim artystą.

DUESSELDORF: Podobno w każdej dziedzinie.

BOLL: Dzień dobry paniom! Jedyne, co przewyższa piękno tego poranka, to-

PANI SPECHT: Bijąca z nas uroda. Tak, tak.

Pani Specht ziewa.

BOLL: Tak... Coś podobnego chciałem powiedzieć.

Odrzuca swój koński ogon i znowu go poprawia.

DUESSELDORF: Projekt idzie do przodu?

BOLL: Od ósmej rano ganiam z tym Flapke po plaży i dyskutuję o zakończeniu jego sztuki - i nic z tego nie wychodzi...

Pieni się w tym chłopcu, kipi z niego ... ale takie to nieustrukturalizowane. Jeszcze.

DUESSELDORF: Na całe szczęście ma pana.

BOLL: Mam nadzieję nadać temu dzikiemu strumieniowi spokojniejszy bieg.

DUESSELDORF: Dlaczego pan sam nie napisał tej sztuki?

BOLL: Droga Pani Duesseldorf, ja – można by rzec – unoszę się ponad literaturą. Nawet nie wolno mi zanurzyć się w tym morzu, inaczej stracę dystans... I nie będę umiał oddzielić ziarna od plew.

PANI SPECHT: W morzu? Ziarna od plew – w morzu?

Boll przystanął przy stoliku z ciastem, bierze do ręki widelczyk.

DUESSELDORF: Pan jest po prostu za mądry, żeby samemu pisać.

PANI SPECHT: Ale przecież on pisze.

DUESSELDORF: Ach tak? Interesujące? A o czym?

BOLL: W mojej książce rozwijam myśli o czymś, czego moim zdaniem brakuje naszemu życiu, i co może nas uzdrowić – jeżeli to znowu w sobie rozwiniemy.

DUESSELDORF: Interesujące. A co to takiego?

BOLL: Waginalna siła, która bez przeszkód wspina się ku duchowości.

DUESSELDORF: Brzmi ciekawie. A dokładnie to, co to jest?

PANI SPECHT: Seks. Jeżeli możesz sobie jeszcze przypomnieć.

BOLL: *Natarczywie do Pani Specht. Falliczna energia.*

Chrześcijaństwo z biczem w dłoni zagnało ją do podziemia. Skulone siedzi to piękne zwierzątko trzęsąc się, szczerząc zęby i marzy o wyjściu na wolność. *Pani Specht znowu ziewa, Boll odwraca się.*

Okaleczono nas, proszę pani!

DUESSELDORF: Interesujące.

BOLL: No bo jest. Bo jest.

Znowu przygląda się widelczykom.

Piękne... Przepiękne...

DUESSELDORF: Tak, tłumimy się wzajemnie...

BOLL: Secesja.

DUESSELDORF: Przestaliśmy się wyżywać. Ukrywamy się.

Dlaczego nosimy ubrania? Dlaczego nie chodzimy nago?

PANI SPECHT: Lotte?

DUESSELDORF: Mam na myśli – przecież jest ciepło?

Z moim mężem... znaczy się... z moim byłym...z moim zmarłym... jeździliśmy sześć tygodni po Indiach...I raz w takiej małej wsi...Była tylko taka komuna...noclegownia...Nawet pościeli nie było...Wszyscy po prostu kładli się na matach...nago...prawie całkiem nago ... i my też to zrobiliśmy...I następnego dnia rano...pomyślałam sobie...widzisz, tak też można...i jakoś tak

poczułam się wolna...to było doświadczenie...które...które noszę w sobie...

BOLL: Prawdziwe złoto, prawda?

DUESSELDORF: Dwa tysiące euro. Każdy.

PANI SPECHT: Lotte...

BOLL: Kocham piękne przedmioty.

Pani Specht znowu ziewa. Boll odkłada widelczyk na miejsce, poprawia swój koński ogon, wyjmując książkę z jej ręk. Dostojewski!? I przy tym pani ziewa? Skończyła pani Houellbecq'a?

PANI SPECHT: Tak. Dzisiaj w nocy.

BOLL: No i ?

PANI SPECHT: Czekam aż zacznie działać.

Wstaje i rusza w kierunku domu. No. Muszę omówić ze służącą, co będzie na obiad.

BOLL: Czy podadzą państwo coś wegetariańskiego?

PANI SPECHT: Niezupełnie.

BOLL: A na co można się cieszyć?

PANI SPECHT: Befszyki.

BOLL: To afront!

PANI SPECHT: Życzenie mojego męża.

DUESSELDORF: Dla mnie też proszę coś wegetariańskiego!

BOLL: Brawo! Witam w cywilizacji.

PANI SPECHT: Mąż zostawił ci w spadku zakłady mięsne, a ty chcesz zostać wegetarianką?

BOLL: O?

DUESSELDORF: I tak chcę to wszystko sprzedać. Wstrząsnął pan mną i otworzył mi oczy, panie Boll.

BOLL: Przede wszystkim zyskuje na tym zmysłowość. Sama pani zobaczy.

DUESSELDORF: Już się cieszę.

BOLL: A oprócz tego się chudnie.

PANI SPECHT: Ona już się cieszy.

BOLL: Nie miałem pani na myśli. Mówiłem tak ogólnie. Ja-Przepraszam.

DUESSELDORF: Już dobrze. Idę się przebrać.

Pani DUESSELDORF idzie do domu.

PANI SPECHT: Trochę więcej wyczucia, Rüdiger. Podobasz się jej.

BOLL: Ach tak? Ale nic na to nie mogę. *Ona chce wyjść. Zostań. Nie mogę spotkać się z tobą na osobności. Unikasz mnie? Staje za nią, kładzie jej ręce na ramionach.* Specjalnie tak robisz? No, powiedz? Znęcasz się nade mną?

Z lewej strony Specht, zwała się na leżak, nerwowo przerzuca instrukcje obsługi.

PANI SPECHT: Weź te ręce.

BOLL: Tylko jak mi przyrzekniesz, że pójdziemy potem do twojego ukochanego miejsca. *Odpycha mu ręce.* Co z nim ?

PANI SPECHT: On czuje się wyobcowany.

BOLL: Na jego miejscu też bym się tak czuł.

Jego ręce wracają.

PANI SPECHT: Zostaw! Nasz projekt działa mu na nerwy. Boję się, że zrezygnuje.

BOLL: W takim razie trzeba go zachęcić. Widzimy się potem na plaży. Przed zachodem słońca. Tylko bez wykrętów.

Pani Specht wchodzi do domu, Boll staje przed leżakiem.

BOLL: Czyż to nie przepiękny dzień?

SPECHT: Nie wie pan, o czym pan mówi.

BOLL: Mogę się dosiąść?

SPECHT: Tylko, jeśli pan musi.

BOLL: Potrzebuje pańskiej rady. Pan Flapke jest trochę renitentny.

SPECHT: Co?

BOLL: Indygowany.

SPECHT: Proszę?

BOLL: Indolencki – i

SPECHT: Tak?

BOLL: Niefleksybilny. Jednym słowem –

SPECHT: O tak, proszę?

BOLL: Trochę niesforny.

SPECHT: Bogu dzięki.

BOLL: Dlaczego?

SPECHT: Teraz pana zrozumiałem.

BOLL: Przepraszam.

SPECHT: Za co mnie pan przeprasza? Ma mnie pan za idiotę?

BOLL: Panie Specht, bardzo pana proszę!

SPECHT: Ale ja jestem idiotą. Nie ma najmniejszego sensu ze mną rozmawiać.

BOLL: Ja stawiam na pańskie doświadczenie.

Mam dzisiaj opracować zakończenie sztuki pana Flapke. Jego wyobraźnia jest trochę absurdalna... Czy uważa pan, że to dobre, jeśli młody człowiek usiłuje popełnić samobójstwo wpychając sobie do gardła skarpetki?

SPECHT: Jeżeli są wyprane, to w porządku.

Pojawia się Flapke, widzi Spechta i wycofuje się.

Muszę – muszę teraz ostro się za coś zabrać.

Chce wyjść.

BOLL: Nie lubi pan pana Flapke?

SPECHT: Lubię moją żonę. Moja żona lubi pana, pan lubi pana Flapke. Na tym łańcuchu wlokę za sobą tego młodego człowieka. Co robić?

BOLL: Niech się pan zaangażuje! Niech pan spróbuje coś od siebie wnieść, hm?

Flapke znowu się pojawia.

SPECHT: *Do Flapke.* Niech pan po prostu zgasi światło!

FLAPKE: Proszę?

SPECHT: Gdzieś w tej pańskiej sztuce po prostu zgasić światło. To byłby dobry koniec tego pańskiego scenariusza.

FLAPKE: To nie jest scenariusz – to jest sztuka teatralna. *Specht wychodzi.* Ignorant.

BOLL: Ostrożnie.

FLAPKE: Okropny typ. Sucharek. Bez masła.

BOLL: Ale obłożony forszą. Bez tego sucharka pańska sztuka nie zostanie wystawiona.

W każdym razie nie w przewidywalnym terminie.

FLAPKE: Bo jest niedobra?

BOLL: Boże kochany – znowu pan zaczyna? Ta sztuka jest po prostu nowa. Zbyt śmiała. Zbyt ekstremalna – dla mas. Ich trzeba ostrożnie dokarmiać okruszkami duchowości – jak ryby w akwarium.

FLAPKE: Akwarium! Dokładnie! Szeroko otwarte oczy – ostatnie słowa pod wodą... Bąbelki idą do góry...

BOLL: Czy może mnie pan wtajemniczyć?

FLAPKE: Henryk topi się w akwarium. Z ciężarkiem u szyi!

BOLL: Proszę pana - a on w ogóle musi umrzeć?

FLAPKE: Musi! Po to napisałem tę sztukę!

Ta sztuka jest tańcem przed obliczem śmierci... z błaganiem o zwłokę.

BOLL: Ale z głową w akwarium? Tak umiera szef mafii – ale nie intelektualista.

FLAPKE: Ja chcę wielkiej, ostrej metafory. Henryk sam się reżyseruje! I rodzaj śmierci jest jego ostatnim przesłaniem! Nie rozumie pan tego?!

BOLL: Tylko, że to nie może być śmieszne!

FLAPKE: Ach tak... Acha, więc jestem żałosny, tak? Tak?!

BOLL: Nie.

FLAPKE: A jednak.

BOLL: Nie.

FLAPKE: Tak!

BOLL: Nie. Musi pan wierzyć w siebie. Wtedy inni w pana uwierzą. *Akcentując każde słowo.* Pan – nie - jest żałosny! No. Teraz głowa do góry i z przekorą do przodu.

MARGIT wchodzi od strony plaży ubrana w szlafrok kąpielowy.

MARGIT: Dzień dobry, panie Boll. O, jest i nasz geniusz.

Przeczytałam pańską sztukę. Nie mogłam już potem zasnąć.

BOLL: Tak, wstrząsające.

MARGIT: Martwię się o pana Flapke.

BOLL: Może się pani uspokoić, pan Flapke napisał sztukę, żeby tego nie zrobić.

MARGIT: Co pan ma na myśli?

BOLL: Żeby się nie zabić.

MARGIT: Ależ tak. Zabije się - jak pojawi się pierwsza recenzja.

Tego naprawdę się obawiam.

MARGIT znika w domu. Flapke opada na fotel.

BOLL: Proszę... niech pan nawet tego nie słucha.

FLAPKE: A może ona ma rację? Może naprawdę jestem tylko idiotą.

Gruczołem wydzielającym tekst.

BOLL: Znowu pan zaczyna?!

FLAPKE: Inni się pocą – a ja piszę.

BOLL: Jest pan dobry!

FLAPKE: Dlaczego jestem dobry? Niech pan mi poda jeden powód?!

BOLL: Bo ja tak uważam. Kapuje pan? Boże święty, dlaczego pan się tak trzęsie?

FLAPKE: Dwie noce już nie śpię. Jak tylko się położę wszystko zaczyna wirować jak na karuzeli... Wszystkie te obrazy... te męczące obrazy...

BOLL: Spokojnie. To talent tak pana dręczy.

Ja już się postaram, żeby pan poszedł właściwą drogą. Proszę mi zaufać.

FLAPKE: Dziękuję. Chciałbym przejść z panem na ty.

MARGIT wychodzi z domu z kamerą i filmuje. Za nią pani Specht.

PANI SPECHT: Ach – twórcy.

FLAPKE: Myślę, że pani nie zrozumiała mojej sztuki.

BOLL: Panie Flapke, to nic nie da.

MARGIT: Odnosi się wrażenie, że bohater wymiotuje przy co drugim przecinku.

FLAPKE: Tak! Do cholery! Ja chcę bebeczków! Wnętrznosci życia! Nie jakiś tam wydrażonych chochołów!

BOLL: Tak, pan Flapke patrzy głęboko w ciemności naszego wnętrza.

PANI SPECHT: Właśnie. W to, czego nie widać.

MARGIT: No to powinien zostać urologiem. Może to jest wyjście.

PANI SPECHT: Margit!?

Flapke odmaszerowuje.

BOLL: Pan Flapke jest młodym, wrażliwym człowiekiem, którego łatwo można zbić z pantałyku. Jego wiara w siebie nie jest zbyt rozwinięta.

MARGIT: W przypadku niektórych ma to swoje uzasadnienie. Próbuję tylko zapobiec nieszczęściu.

BOLL: Pani jest sama dla siebie nieszczęściem. Najpierw z tym niech się pani upora. Pani Specht – będę na plaży.

Wychodzi. Specht rozpromieniony wchodzi od strony ogrodu.

PANI SPECHT: *Do Margit.* Zostaw moich gości w spokoju.

SPECHT: Udało się!

PANI SPECHT: *Do Margit.* A jak nie, to możesz sobie iść!

SPECHT: G.P.S działa!

PANI SPECHT: Cudownie, kochanie.

SPECHT: Mimo instrukcji obsługi.

PANI SPECHT: Jestem z ciebie dumna.

SPECHT: Trzeba się tylko za coś zabrać.

PANI SPECHT: Właśnie. To zrób sobie przejażdżkę, hm?

SPECHT: A dokąd?

PANI SPECHT: Dokąd? No cóż... Tam jest taki nowy prehistoryczny cmentarz. Z kamiennymi kręgami.

Jest tam nawet tablica z twoim nazwiskiem.

SPECHT: Kupiłaś już dla mnie miejsce na cmentarzu?

PANI SPECHT: Nie. Dałeś pieniądze na odbudowę.

SPECHT: I nawet nic o tym nie wiem? Ile?

PANI SPECHT: Tyle, żebyś nie musiał się wstydzić.

SPECHT: To na pewno tyle, żebym musiał się zdenerwować.

PANI SPECHT: No jedź już. Przewietrzysz sobie głowę. Hm?

SPECHT: Cmentarzysko? No nie wiem... Takie mam dziwne przeczucie...Jakby miało mi się dzisiaj coś stać...?

PANI SPECHT: Mój biedny, mały pieszczołek. Ma po prostu za dużo czasu na rozmyślania.

Pani Dusseldorf wystrojona, uskrzydłona wielkim kapeluszem lekko wybiega z domu . Specht patrzy przerażony.

DUESSELDORF: Pan Reizschneider jest w telewizji!

SPECHT: O.K. Jadę. Już mnie nie ma.

PANI SPECHT: Spędź sobie ładny dzień, hm?

DUESSELDORF: Gerard, jedziesz grać w golfa?

SPECHT: Nie. Spędzę sobie ładny dzień.

Z nawigacją satelitarną.

Wychodzi w lewo.

DUESSELDORF: Reizschneider jest w telewizji.

MARGIT: A pomachał do pani rączką? Serio chce grać w sztuce tego Flapke?

PANI SPECHT: Główną rolę.

MARGIT: Nie sądzę, żeby przeczytał sztukę.

PANI SPECHT: Bo co?

MARGIT: Bo mimo to przyjeżdża.

PANI SPECHT: Oprócz tego otrzyma kontrakt w reklamie.

MARGIT: Ach tak... - U twojego dzieciątka?

PANI SPECHT: Proszę cię. Nie życzę sobie, abyś choć raz jeszcze nazwała mojego męża dzieciątkiem. Weź pod uwagę, że jesteś tu na jego utrzymaniu.

DUESSELDORF: Właśnie.

MARGIT: Ciebie też utrzymuje.

PANI SPECHT: Jestem jego żoną.

MARGIT: Bo go kochasz?

PANI SPECHT: Głupie pytanie.

MARGIT: Tak, to rzeczywiście głupie pytanie.

PANI SPECHT: Szkoda. W ogóle się nie zmieniłaś.

MARGIT: Ty też nie. Zawsze chętnie pokazywała chłopcom majteczki – w zamian za gumę do żucia.

DUESSELDORF: Lydia...? Pani jest bezczelna!

PANI SPECHT: Daj spokój. Ona zawsze stała z boku.

DUESSELDORF: Musiała pani cierpieć z tego powodu, hm?

MARGIT: No to spotkał nas obie podobny los. Obie stałyśmy zawsze z boku. Trochę ciasta?

Pani Duesseldorf wypada z hukiem.

PANI SPECHT: Wstyd mi za ciebie!

MARGIT: Jak to się czasy zmieniają. Kiedyś ja musiałam się za ciebie wstydzić.

Margit wchodzi do domu, Pani Specht woła za nią.

PANI SPECHT: Albo schowasz swój jadowy ząb, albo wynocha stąd!

Carmen wchodzi z dzbankiem wody z lodem.

PANI SPECHT: Zajmij się basenem.

CARMEN: Tak, proszę pani. Po obiedzie.

PANI SPECHT: Nie, zaraz!

CARMEN: Dziękuję pani.

PANI SPECHT: Dlaczego mi dziękujesz?

CARMEN: Bo przejmuje pani gotowanie.

PANI SPECHT: Mam dla ciebie gotować czy co?!

CARMEN: W takim razie jednak nie basen?

Carmen wychodzi.

PANI SPECHT: Poczekaj ty!

Pani Specht wściekła idzie za nią. Zaraz potem słychać dźwięk ostro hamującego samochodu. Reizschneider z Wolkowskim wchodzi do ogrodu. Obaj zziębnięci - Reizschneider pijany podtrzymuje się ściany.

WOLKOWSKI: Boże święty, gdyby on nie skręcił, żeby nas wyminąć, to - to byłoby o jednego dobrego aktora mniej.

REIZSCHNEIDER: Ja bym jakoś przeżył.

WOLKOWSKI: To jest ucieczka z miejsca wypadku!

REIZSCHNEIDER: To on przecież uciekł! Prosto w pole.

WOLKOWSKI: Za to możesz pójść do więzienia!

REIZSCHNEIDER: Wolli – proszę-

WOLKOWSKI: Nie jestem twój Wolli!

REIZSCHNEIDER: Panie Wolkowski, niech pan sobie życia nie utrudnia.

WOLKOWSKI: Bez ciebie życie byłoby całkiem łatwe. – Nie powinniśmy byli się zatrzymywać.

REIZSCHNEIDER: Byłem głodny.

WOLKOWSKI: Chciałeś się napić. A ja się dałem wpuścić! Znowu dałem się wpuścić! Następnym razem pojedziemy pociągiem – bez wagonu restauracyjnego. Mam nadzieję, że dobrze tu trafiliśmy?

Reizschneider opada na leżak.

REIZSCHNEIDER: Dobrze trafiliśmy... Achhhh...

WOLKOWSKI: A ja ciągle jeszcze nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi! Co to za sztuka?

REIZSCHNEIDER: Genialna sztuka.

WOLKOWSKI: Co jest w niej genialnego?

REIZSCHNEIDER: Tylko dwadzieścia stron. I zarobimy kupę forsy.

WOLKOWSKI: O co tam chodzi?

REIZSCHNEIDER: Kupę forsy, Wolli.

WOLKOWSKI: Co to za role?

REIZSCHNEIDER: Po co ta inkwizytorska przepytawanka? Chodzi o otwarcie, zamknięcie i zniknięcie.

WOLKOWSKI: O czym ty mówisz?

REIZSCHNEIDER: Najpierw otworzymy buzię – po czym ją zamkniemy – potem otworzymy rączkę – i znowu zamkniemy – a następnie znikniemy. I po cholere chcesz jeszcze wiedzieć, o co chodzi w tej sztuce?

WOLKOWSKI: Bo mnie to interesuje – jako artystę. Bo notabene nim jestem! Jakie my kiedyś mieliśmy sukcesy... My obaj...

Publiczność była jak kobieta, która nigdy nie miała dość... A teraz?

Znam twoje teksty lepiej niż swoje własne...Jaki to wstyd! Sam nie wiem dlaczego ja się właściwie tobą opiekuję? I przy tym miałem bardzo dobre propozycje – fantastyczne propozycje. Bez ciebie.

Kategorycznie: bez ciebie! Mój Boże... Kim ja bym dzisiaj mógł być, gdybym nie spotkał ciebie? A ty ciągle milczysz. Nawet najcichszego słówka wdzięczności. Ale teraz mam dosyć! Zdecydowałem się –

Słyszałeś? Będę egoistą. Tacy mają lepiej w życiu. Od dzisiaj nie będę już twoim psem przewodnikiem! To jest decyzja dla nas obu! Słyszałeś? Hej, Reizschneider!?

Reizschneider zasnął. Jak zwykle. Jak tylko przestaje być przyjemnie – to już cię nie ma.

Pani Duesseldorf pojawia się w drzwiach tarasu..

DUESSELDORF: Dzień dobry.

WOLKOWSKI: Dzień dobry.

DUESSELDORF: Wolno spytać, kim pan jest?

WOLKOWSKI: Wolkowski.

DUESSELDORF: A co pan tutaj robi?

WOLKOWSKI: Jestem tu oczekiwany.

DUESSELDORF: Nic mi na ten temat nie wiadomo.

WOLKOWSKI: Towarzyszę panu Reizschneiderowi.

DUESSELDORF: Ach tak...? A tak! Lydia!? – Lydia!? *Do Wolkowskiego.* Więc Reizsnederowi.

WOLKOWSKI: Ładnie tu.

DUESSELDORF: Jedno z najpiękniejszych i najspokojniejszych miejsc na wybrzeżu.

Pojawia się Pani Specht, woła za siebie.

PANI SPECHT: Zwalniam cię!

DUESSELDORF: Tutaj jesteśmy tylko wśród swoich.

PANI SPECHT: Bezczelna bestyjko!

DUESSELDORF: Lydia?

PANI SPECHT: Wracaj do tych swoich hamburskich slumsów!

DUESSELDORF: Lydia!?

PANI SPECHT: Co jest?!

DUESSELDORF: Lydio, Pan Reizschneider przyjechał.

PANI SPECHT: O, ale to nie on.

DUESSELDORF: To jest pan...pan?

WOLKOWSKI: Wolkowski.

PANI SPECHT: Bardzo mi miło.

WOLKOWSKI: Aktor.

PANI SPECHT: To pan też jest aktorem?

WOLKOWSKI: Od dwudziestu sześciu lat.

PANI SPECHT: A tak, pan Reizschneider mówił coś o panu. – Czy pan przypadkiem nie grał w tym serialu? Gdzie on gra tego ordynatora?

WOLKOWSKI: Od piętnastu lat gram tam jego prawą rękę.

PANI SPECHT: A tak, rzeczywiście... Tego z wadą wymowy.

WOLKOWSKI: Nie. To jego kontrpartner doktor Zmijewski. Zresztą telewizja chce, żebym miał mój własny serial. Ludzie piszą listy, wie pani.

PANI SPECHT: *Macha ręką.* Chodźcie. Pan Reizschneider przyjechał!

WOLKOWSKI: Na coś takiego telewizja musi reagować.

PANI SPECHT: Ale gdzie on jest?

WOLKOWSKI: Prawdopodobnie będę grać adwokata, który – *Boll i Flapke w chodzą od strony plaży.*

PANI SPECHT: Pan Reizschneider przyjechał!

WOLKOWSKI: Adwokata, który walczy o ludzkie prawa i –

PANI SPECHT: Panowie pozwolą, to jest – Pan...? Pan...?

WOLKOWSKI: Wolkowski! Aktor!

PANI SPECHT: Pan Witkowski –

WOLKOWSKI: Wolkowski...

PANI SPECHT: Pan Wolkowski zagra rolę Meltüra.

FLAPKE: Co? Zaraz, zaraz – proszę mi wybaczyć – ale. Nie. To niemożliwe! Meltür jest młody. Szczupły, piękny – zjawisko emanujące wewnętrznym światłem!?

Cisza. Wszyscy patrzą na małego i okrągłego Wolkowskiego.

PANI SPECHT: *Do Wolkowskiego.* Da pan radę, hm?

Pan Reizschneider optował za panem Wolkowskim.

FLAPKE: Ja pana znam. Pan gra tego lekarza. Tego z wadą wymowy? Jestem pełen uznania. Świetnie.

WOLKOWSKI: Doktor Zmijewski?

FLAPKE: Tak, dokładnie. Zmijewski.

WOLKOWSKI: Ja tego nie gram.

PANI SPECHT: Tutaj jest przecież! Śpi jak dziecko... No...

Flapke i Pani Specht stoją nad śpiącym Reizschneiderem.

WOLKOWSKI: Jest trochę zmęczony podróżą. Jeszcze wczoraj miał premierę w Monachium. A potem zaraz w samochód.

PANI SPECHT: Pracoholik.

WOLKOWSKI: Też.

Wchodzi MARGIT.

PANI SPECHT: Margit, pan Reizschneider przyjechał!

PANI SPECHT: To jest pan...? Przepraszam?

WOLKOWSKI: Wolkowski!

DUESSELDORF: Pan Wolkowski też jest aktorem.

PANI SPECHT: Pan Wilkowski jest od dwudziestu sześciu lat przeciwnikiem pana Reizschneidera.

WOLKOWSKI: *Podniesionym głosem.* Asystentem! I nie od dwudziestu trzech! Od piętnastu! Piętnaście lat to też cholernie długo, ale to nie to samo, co dwadzieścia sześć! Miałem piękne i urozmaicone życie zawodowe zanim spotkałem pana Reizsniedera! Chciałbym o tym tutaj napomknąć!

PANI SPECHT: Nie tak głośno! Jeszcze go pan obudzi.

Specht zataczając się idzie przez ogród trzymając się za głowę.

SPECHT: Gdzie ta świnia?

PANI SPECHT: Mój boże, kochanie? Co ci się stało?

SPECHT: Ohhh... przez rów... na pole.

PANI SPECHT: Nawigacja znowu się zepsuła?

SPECHT: Nie!

PANI SPECHT: To dlaczego robisz takie rzeczy?

SPECHT: Gdybym tego nie zrobił, już by mnie nie było! Spojrzałem śmierci w oczy... Ten wariat jechał wprost na mnie!

PANI SPECHT: Mój boże – ty przecież krwawisz?!

SPECHT: A widzisz! Widzisz – wiedziałem, że będę jeszcze dzisiaj krwawił! A ty nie chciałaś mnie słuchać!

PANI SPECHT: Musimy wezwać policję! Carmen!

WOLKOWSKI: Proszę poczekać –

PANI SPECHT: Nie, tego przestępcę trzeba natychmiast złapać.

Może jest pijany? Wyobraźcie sobie, że naprawdę mogło się coś stać?

SPECHT: I stało się! I ten zasraniec tutaj jest! W moim domu!

PANI SPECHT: Nie...

SPECHT: Właśnie, że tak!

PANI SPECHT: Więc ty myślisz ...?

SPECHT: Ja nie myślę – ja wiem! Jego samochód stoi przed drzwiami. *Podchodzi do Wolkowskiego wygrażając mu.* Pan...?

WOLKOWSKI: Tak, proszę?

SPECHT: To pan prowadził?

WOLKOWSKI: Nie. Ja nie piję. Znaczy - nie jeżdżę. Nie mam prawa jazdy.

SPECHT: W takim razie to on prowadził? – Proszę odpowiedzieć!?

WOLKOWSKI: Jeżeli sobie dobrze przypominam - tak.

Specht budzi Reizschneidera potrząsając nim.

SPECHT: Hej, pobudka!

PANI SPECHT: Gerard -

SPECHT: Muszę z panem porozmawiać! No już!

REIZSCHNEIDER: Nie udzielam wywiadów.

SPECHT: Pieprzony piracie drogowy! Teraz zechce pan ze mną porozmawiać!

Specht dostaje szatu, zamyka oparcie zamykając Reizschneidera w leżaku.

PANI SPECHT: Zabijesz go! Zabijesz go!

SPECHT: On też chciał mnie zabić! Oko za oko!

BOLL: Panie Specht?!

SPECHT: Ząb za ząb!

BOLL: Niech się pan opanuje!

Pani Specht odciągają swego męża, Boll rozkłada leżak, Reizschneider podnosi się.

REIZSCHNEIDER: Niedobrze mi... Jest tu jakaś możliwość...żeby...muszę się ... Gdzie jest kierownik planu?

Reizschneider bezradnie zatacza się w kierunku basenu.

FLAPKE: Jedno jest pewne – nie będę z nim pracować.

On zabije moją sztukę!

PANI SPECHT: O, nie .On wpadł do basenu!

Pani Specht biegnie za Reizschneiderem. Wolkowski w ekspresowym tempie zdejmuje z siebie ubranie.

MARGIT: Niech pan nie zadaje sobie trudu.

BOLL: Cyniczka!

MARGIT: W basenie nie ma wody.

II AKT

Pani DUESSELDORF na leżaku przyjęła pozę, którą uważa za powabną, WOLKOWSKI w okropnych szorcikach i żółtych gumiakach stoi niechętnie przy niej. Wymachuje małym, czerwonym plastikowym wiaderkiem.

DUESSELDORF: No więc leżeliśmy tak wszyscy pokotem na tych matach – nadzy... i potem jakoś tak pomieszaliśmy się... całkiem się przemieszaliśmy. I to było kluczowe przeżycie. Siła waginalna, rozumie pan?

WOLKOWSKI: Niezupełnie.

DUESSELDORF: Falliczna energia!

WOLKOWSKI: To rozumiem.

Wolkowski chce odejść.

DUESSELDORF: Co ma pan zamiar teraz robić?

WOLKOWSKI: Zbierać muszelki.

DUESSELDORF: *Jak na skrzydłach podchodzi do niego.* Mogę panu towarzyszyć?

WOLKOWSKI: Jestem homoseksualistą.

DUESSELDORF: Oh... Cóż, w takim razie –

WOLKOWSKI: Na razie.

Specht wypada z domu z bandażem na głowie, za nim Carmen.

SPECHT: To po to cię znowu zatrudniłem?!

CARMEN: Zarządzenie pańskiej żony.

Pani Specht wychodzi z serwetką w ręce.

SPECHT: Chcecie mnie zabić? Gulasz z tofu i sałatka z alg!

PANI SPECHT: Pan Boll brzydzi się mięsem!

SPECHT: To niech sobie wyżre cały ogród! Tak się cieszyłem na te befsztyki.

PANI SPECHT: Proszę? Kompromitujesz nas!

SPECHT: Te befsztyki tyle dla mnie znaczyły!

PANI SPECHT: Kocham cię!

SPECHT: A gdzie moje befsztyki?!

PANI SPECHT: *Do Carmen.* No, co tak stoisz?! Zwolniłam cię.

SPECHT: Tak, moje befsztyki są nieważne!

Carmen wchodzi do domu.

PANI SPECHT: Nie rób skandalu. Proszę! Usiądź znowu z nami przy stole.

SPECHT: Żeby znów dać się obrażać temu bachorowi?!

PANI SPECHT: Ale, uspokój się. Nie masz co robić – dlatego jesteś taki nerwowy!

SPECHT: Tak. Tak! Muszę się czymś zająć! Muszę pilnie zacząć coś robić! Tak!

Sięga po kij golfowy i macha nim bez sensu w powietrzu.

Boll wychodzi z domu, za nim Flapke i Pani Duesseldorf, trochę później MARGIT. Boll daje Pani Specht gestem znać, że to załatwi.

BOLL: Panie Specht?

SPECHT: Nie!

BOLL: Pan źle zrozumiał pana Flapke!

FLAPKE: Właśnie, że dobrze. Obstawiam, że za tym co powiedziałem!

PANI SPECHT: *Śpiwnie*. Kto ma ochotę na szampana?

BOLL: Chciałbym panu wyjaśnić-

SPECHT: Nie mam czasu!

BOLL: On miał na myśli –

SPECHT: Z drogi! Nie widzi pan, że jestem zajęty?

BOLL: On miał na myśli, że –

SPECHT: Zjeżdżać stąd!

FLAPKE: Potwierdzam to!

PANI SPECHT: *Woła w kierunku domu*. Carmen, szampana!

BOLL: Pan Flapke chciał przez to powiedzieć, że trzeba się uniezależnić od pieniędzy – żeby móc zrobić coś naprawdę sensownego!

SPECHT: Proszę?! Nie widzi pan, że właśnie robię coś głęboko sensownego? Jak pan natychmiast nie zejdzie mi z drogi, to...

PANI SPECHT: Gerhard!?

BOLL: Kocham pana.

SPECHT: Co?

BOLL: Kocham pana. Tak po prostu to panu mówię. Nie musi pan nic robić. Pieniądz, to właściwie materialistyczne libido. Pieniądze dodają znaczenia i przyciągają uwagę. Za wysiłkiem zarabiania pieniędzy ukrywa się pragnienie miłości, oparcia i akceptacji.

– Pan chce po prostu być kochanym.

SPECHT: I pan mnie kocha?

BOLL: Tak. Tak po prostu. Gratis. I nie dla pańskich pieniędzy. Miłość dla pieniędzy mianowicie się nie sprawdza.

SPECHT: Tu się z panem zgadzam. Jestem po raz czwarty żonaty.

DUESSELDORF: Gerhard?!

PANI SPECHT: *Odbiegając od tematu. Co z szampanem?*

DUESSELDORF: *Do Spechta. Jeszcze o tym porozmawiamy.*

Specht chce wejść do domu.

FLAPKE: Potwierdzam, co powiedziałem. On jest tylko pozbawionym świadomości trybikiem w konsumpcyjnej maszynie kapitalizmu!

BOLL: Niech się pan wreszcie zamknie!

Specht przystaje, odwraca się.

SPECHT: Mam pytanie: kto panu płaci?

MARGIT: Gerhard – nie szantażuj go! Dla artysty niezależność jest najważniejsza.

FLAPKE: To prawda!

MARGIT: Z tego powodu nie powinieneś dłużej trzymać pana Flapke w sytuacji, która go korumpuje. Nie finansuj tej sztuki.

SPECHT: Ty masz rację. Po prostu nie mogę mu tego zrobić.

FLAPKE: Pieniądz musi transformować się w ducha – to jedyny sens jaki ma pieniądz!

MARGIT: Jeszcze jeden powód, aby nie inwestować w tę sztukę.

FLAPKE: Pani... Pani -

MARGIT: Nie znajduje pan odpowiedniego określenia? Mogę panu coś podpowiedzieć?

FLAPKE: Tak, pani dobrze wie, kim pani jest!

MARGIT: W gruncie rzeczy wszyscy wiemy, kim jesteście.

Flapke ulatnia się w stronę plaży. Boll przeży się przed Margit.

BOLL: Czy pani nie rozumie, że kreatywna praca, możliwa jest tylko w atmosferze wzajemnej sympatii?

MARGIT: Czuje się pan niespokojny, panie literacki rozpylaczu?

PANI SPECHT: Margit! Coś ci powiedziałam!

BOLL: Co ona tu właściwie robi?

PANI SPECHT: Dobre pytanie. Lepiej będzie jak się stąd wyniesiesz do twojego pokoiku na poddaszu.

MARGIT: Szkoda. A tak chętnie bym została.

PANI SPECHT: W takim razie przepróż.

MARGIT: Przepraszam pana. Rozpylacz literatury, to za mocno powiedziane. Powinnam była od razu powiedzieć – idiota, albo jeszcze gorzej – nabzdyczony frazesowicz. To niewybaczalne! Ukarzę się sama – poprzez absencję!

Odchodzi. Specht śmieje się.

PANI SPECHT: Co tu jest takiego śmiesznego?!

SPECHT: Nic. Nic śmiesznego.

Carmen wchodzi z walizką.

SPECHT: Carmen, dzisiaj wieczorem będą befsztyki!

CARMEN: Ale-

SPECHT: Jak nie będzie befsztyków, to cię wyrzucę z pracy.

CARMEN: Już zostałam wyrzucona.

SPECHT: Jesteś znowu zatrudniona!

PANI SPECHT: Jest zwolniona!

SPECHT: Nie!

PANI SPECHT: Tak!

SPECHT: Nie!

PANI SPECHT: Ja prowadzę ten dom!

SPECHT: Dobrze. Jak nie będzie befsztyków – to ty zostaniesz zwolniona.

Maszeruje do domu.

CARMEN: I co teraz?

SPECHT: Jesteś z powrotem zatrudniona.

Carmen wnosi walizkę do domu. Pani Specht opada na hollywoodzką huśtawkę.

BOLL: Powinna pani pomyśleć o usunięciu stąd siostry.

DUESSELDORF: Istotnie. Powinnaś.

BOLL: Pani mąż jest już całkiem zdezorientowany.

DUESSELDORF: Ja już to naprawię. Ja nim pokieruje. Twój mąż mnie słucha.

PANI SPECHT: Lotte – proszę, nie!

DUESSELDORF: Każdy ma tu jakieś zadanie. A to jest moje. Zaufaj mi.

Pani Duesseldorf znika w domu.

BOLL: Wzruszający, ten pulpecik.

Boll dosiada się do Pani Specht na huśtawkę.

Nareszcie sam na sam z tobą...

PANI SPECHT: Tak się cieszyłam na te dni.

BOLL: Ja też.

PANI SPECHT: A teraz wszyscy się kłóca. Ja chcę... ja chcę

BOLL: Tak, kochanie?

PANI SPECHT: *Krzyczy. Harmonii! Szarpie nim.* A jak chcę, żeby była harmonia, to jest harmonia!

BOLL: Uspokój się. Jestem z tobą. U twego boku.

PANI SPECHT: O, jak to dobrze.

BOLL: Chciałbym znowu z tobą poharcować, piękności moje...

PANI SPECHT: Ach, Rudi...

BOLL: Te nasze zabawy, hm? Którymi się tak rozkoszowałaś. Hm? *Chce ją do siebie przyciągnąć. Ona odsuwa się od niego.* Lydia, co się z tobą dzieje?

PANI SPECHT: Przy następnym posiłku zostaw nogi przy sobie.

BOLL: Nie pragniesz moich nóg? - Znaczy - moich nóg już nie pragniesz?

PANI SPECHT: Proszę, nie bierz tego do siebie.

BOLL: Nie chcesz już moich nóg i mam tego nie brać do siebie?

Chwileczkę. Nie tak. Nie ze mną! Wiesz, że tylko dla ciebie tu jestem!

PANI SPECHT: Nie tak głośno! Jesteś tu, żeby wydać na świat teatralną sztukę.

BOLL: Bez ciebie jestem niepłodny!

Wchodzi Flapke. Ona się podrywa.

FLAPKE: Tak nie może być!

PANI SPECHT: Co tu znowu nie może być?!

BOLL: Tu może być wszystko, czego pani Specht chce! Niech pan to sobie zapamięta!

FLAPKE: Reizschneider się nie nadaje. Jest za stary. A poza tym jest całkowicie przereklamowany jako aktor!

PANI SPECHT: I co ja mam na to powiedzieć?

BOLL: Pan Reizschneider zagrał Hamleta stulecia, jak pan był jeszcze w pieluchach!

FLAPKE: Całe szczęście, że byłem w pieluchach – bo bym go wygwizdał!

PANI SPECHT: Powoli mam tego dość...

BOLL: Młody człowieku, pan sam jest dla siebie przeszkodą!

Najpierw obraża pan sponsora – a teraz chce pan wyeliminować człowieka, który gwarantuje sukces pańskiej sztuki!

FLAPKE: Phi!

BOLL: Panie Flapke, ludzie przyjdą, bo Reizschneider będzie grał!

FLAPKE: Ludzie przyjdą, bo Flapke to napisał!

BOLL: Tak. Później. Po pańskiej śmierci. Ale do tego czasu potrzebuje pan Reizschneidera!

FLAPKE: Wypalonego pijaczyne?

PANI SPECHT: Pan Reizschneider nie pije! Ty początkujący pisarczyku!

Reizschneider wchodzi na scenę zataczając się. Za nim Specht.

SPECHT: Niech pan nie udaje głupka! Zapłaci mi pan za Jaguara!

PANI SPECHT: Kochanie, uprzejmość nic nie kosztuje.

SPECHT: Owszem. Zawsze jak jestem uprzejmy – słono za to płacę. – Lydio, przez jakiś czas nie będę z nikim rozmawiać.

I proszę, żeby to respektowano. Wszystkich o to proszę!

Specht chce znowu wejść do domu, Pani Dusseldorf wychodzi mu w drogę.

DUESSELDORF: Gerhard, musimy pogadać.

SPECHT: Nie!

DUESSELDORF: Nie wymigasz się.

SPECHT: Zaraz dostanę kota!

DUESSELDORF: To ważne!

Wciąga go do środka. Mocno wstawiony Reizschneider stoi i mruży oczy przed słonecznym światłem.

REIZSCHNEIDER: Jaki piękny poranek.

FLAPKE: Popołudnie.

BOLL: A teraz wypoczęty – do roboty, prawda?

Reizschneider chce się otrząsnąć, nie zauważa schodów do dolnej części ogródka, zatacza się. Robi kilka groteskowych ruchów – w końcu udaje mu się uzyskać stabilną pozycję. Inni idą za nim.

PANI SPECHT: A jak się pan czuje?

REIZSCHNEIDER: Być może całkiem nieźle.

PANI SPECHT: Widać po panu, że ostatnio dużo pan pracował.

REIZSCHNEIDER: Tak. Jestem troszeczkę spięty.

FLAPKE: To się zmieni po pierwszej flaszce.

REIZSCHNEIDER: O, taki młody? I już z takim doświadczeniem?

BOLL: I już z takim sukcesem,

PANI SPECHT: To jest autor.

BOLL: „Horx – grzech pierworodny”. Wielki sukces wśród krytyki w Hamburgu!

REIZSCHNEIDER: W Hamburgu?

BOLL: Wielki sukces.

REIZSCHNEIDER: A, ten Osterkreuz, prawda?

BOLL: Nie, to ktoś inny.

REIZSCHNEIDER: Ktoś inny?

BOLL: Kto odniósł sukces.

REIZSCHNEIDER: Ach - odniósł sukces.

BOLL: Pan Flapke też miał sukces.

REIZSCHNEIDER: Acha. Ładnie. Bardzo ładnie. Tylko tak dalej, młody człowieku.

Flapke opuszcza głowę niby byk przed atakiem.

BOLL: Moje nazwisko Boll.

PANI SPECHT: Publicysta Boll. *Cisza.* Ten Boll. Krytyk teatralny.

BOLL: Tak, jak się mnie zmusi – piszę również recenzje.

REIZSCHNEIDER: Bardzo się cieszę.

BOLL: Nigdy pan o mnie nie słyszał?

REIZSCHNEIDER: Nie.

BOLL: Już kiedyś pana zjechałem!

REIZSCHNEIDER: A jasne, – ten... ten tam Boll... Boll! Naturalnie, że pana znam.

BOLL: Brzytwa.

REIZSCHNEIDER: A, to też pan? Zawsze myślałem, że to są dwie osoby. Co za wspaniały dzień. Boll i Brzytwa – dwie takie mądre osobowości – nagle stały się jedną. I stoją teraz przede mną.

Gratuluję.

FLAPKE: Jak pan ocenia moją sztukę?

REIZSCHNEIDER: Kocham ją.

FLAPKE: A co dokładnie pan kocha?

REIZSCHNEIDER: Wszystko!

FLAPKE: A co szczególnie?

REIZSCHNEIDER: Zwięzłość. Tylko dwadzieścia dwie strony! Tylko dwadzieścia dwie strony! Wyobraźcie sobie państwo! To genialne.

FLAPKE: A co zostało w niej powiedziane?

REIZSCHNEIDER: Wszystko... Wszystko tu jest - intrygą, morderstwo, zazdrość –

PANI SPECHT: Tak, naprawdę wszystko!

REIZSCHNEIDER: Ale też komizm.

PANI SPECHT: Mnóstwo komizmu.

FLAPKE: Gdzie?

REIZSCHNEIDER: Bardzo dużo ukrytego komizmu...

FLAPKE: Gdzie tu jest komizm?

REIZSCHNEIDER: Co?

FLAPKE: Gdzie w mojej sztuce można się śmiać? W którym miejscu?

REIZSCHNEIDER: Na początku. Potem już nie...

FLAPKE: Po morderstwie?

REIZSCHNEIDER: Właśnie.

FLAPKE: W mojej sztuce nie ma żadnego morderstwa.

BOLL: Samobójstwo. Pan Reizschneider ma na myśli samobójstwo.

PANI SPECHT: To przecież jasne.

REIZSCHNEIDER: To jest prawdziwe morderstwo. Być ofiarą i mordercą jednocześnie. Okropne. Tragiczne.

PANI SPECHT: Boże, jakie to fascynujące. Już w ferworze dyskusji. Napijmy się.

FLAPKE: Pan nie da rady tego zagrać.

REIZSCHNEIDER: Tak? A dlaczego nie, młody człowieku?

FLAPKE: W scenografii są schody.

Flapke wychodzi. Reizschneider musi sobie przysiąść – opada na huśtawkę. Pani Specht przysiadła obok niego. Boll niezdecydowany stoi.

PANI SPECHT: Musi mu pan wybaczyć. Pan Flapke jest jeszcze bardzo młody...

BOLL: I trochę nerwowo.

PANI SPECHT: Zagra pan tę rolę. Wymarzyłam sobie pana w tej obsadzie.

REIZSCHNEIDER: Więc to pani mnie zaprosiła?

PANI SPECHT: Tak. Moim życzeniem było, żeby pan przyjechał. I teraz naprawdę jest pan tutaj. Tak po prostu siedzi pan sobie obok mnie. Na żywo.

REIZSCHNEIDER: Tak, to ja. We własnej osobie.

Ona upija trochę z kieliszka. Dostaje czkawki.

PANI SPECHT: Przepraszam, troszkę jestem zdenerwowana.

BOLL: Kochanie, spacer uspokaja. Dzisiaj będzie piękny zachód słońca.

PANI SPECHT: Damy słońcu dzisiaj zejść bez nas, hm? Na razie.
Boll z kwaśną miną odchodzi.

Muszę usprawiedliwić mego męża. Miał dzisiaj rano okropny wypadek.

REIZSCHNEIDER: Co się takiego stało?

PANI SPECHT: Ktoś go zepchnął do rowu. A potem ten ktoś zwiął.

REIZSCHNEIDER: Ale świnią.

O mój Boże – pani jest ubrana na czarno?

PANI SPECHT: Proszę się nie obawiać. Z nim wszystko w porządku.

Specht wypada z domu.

SPECHT: No to jestem aspołeczny!

Pani Dusseldorf depta mu po piętach.

DUESSELDORF: Musisz być odpowiedzialny, za zobowiązania, które na siebie wzięłeś, Gerhard.

Specht znika za garażem, pani Dusseldorf za nim.

REIZSCHNEIDER: Więc, to jest pani mąż.

PANI SPECHT: Tak, cały i zdrowy.

SPECHT: *Off.* Daj mi święty spokój!

REIZSCHNEIDER: Co to za hałas?

PANI SPECHT: Czkawka. Jeszcze się z nią nie uporałam.

REIZSCHNEIDER: Nie, miałem na myśli to tam.

PANI SPECHT: Morze.

REIZSCHNEIDER: Morze... Acha...Więc jestem nad morzem... No więc, nie wiem jak mam zacząć... Proszę pani... Pani...

PANI SPECHT: Tak?

Boll pojawia się w oddali.

BOLL: Lydio, czekam na ciebie w naszym ulubionym miejscu!

Boll wycofuje się.

REIZSCHNEIDER: Lydia - będę do pani mówić Lydia. O.K?

PANI SPECHT: Więc - na ty?

REIZSCHNEIDER: Dlaczego nie.

PANI SPECHT: Nikt nigdy tak szybko nie zaproponował mi przejścia na ty.

REIZSCHNEIDER: Czasem musi być ten pierwszy raz.

A więc, Lydio – *Ona patrzy na niego. Czka. Odwraca głowę.* Co jest?

PANI SPECHT: Ach, te oczy...

REIZSCHNEIDER: Ach tak. *Zakłada okulary słoneczne.* Lydio, trochę mi wstyd ... Chodzi o moje honorarium – Ach!

Wolkowski wchodzi z kierunku plaży.

REIZSCHNEIDER: Ach, dzień dobry, Wolli. Już pracowity jak pszczołka?

WOLKOWSKI: Dzień dobry, pani Specht. Tobiasz, usiłowałem przeczytać tę sztukę. Musimy porozmawiać. Natychmiast.

Człapie do domu.

REIZSCHNEIDER: Pani Specht-

PANI SPECHT: Ty. Przeszliśmy już na ty!

REIZSCHNEIDER: Zgadza się. – Ty... chodzi o honorarium. Czy możliwa by była mała zaliczka? Nie, żebym naprawdę potrzebował – tylko żeby mieć pewność, że projekt naprawdę dojdzie do skutku.

PANI SPECHT: Nie ma problemu.

REIZSCHNEIDER: Tak siedemdziesiąt procent?

PANI SPECHT: Nie ma problemu.

REIZSCHNEIDER: Ty wiesz, że już od roku cieszę się na tę pracę?

PANI SPECHT: To pięknie. Chociaż poznaliśmy się przecież dopiero trzy miesiące temu.

REIZSCHNEIDER: Rzeczywiście? Widzi pani – mam takie wrażenie, że znamy się już o wiele dłużej.

PANI SPECHT: Ty. – Ja też tak czuję.

On pociera skronie. Boli cię głowa?

REIZSCHNEIDER: Trochę.

PANI SPECHT: Przynieść ci tabletkę?

REIZSCHNEIDER: Nie, nie. Znam jeden domowy sposób.

Chce wstać, opada z powrotem.

REIZSCHNEIDER: Ała...

PANI SPECHT: Co ci jest?

REIZSCHNEIDER: Moje ramię... Coś mam z ramieniem?

PANI SPECHT: To od upadku.

REIZSCHNEIDER: Upadku? Zaraz, zaraz... Bardzo mnie to interesuje. Jaki upadek?

PANI SPECHT: Do basenu. Dzisiaj rano.

REIZSCHNEIDER: Acha. Więc chciałem sobie popływać, tak?

PANI SPECHT: Nie. Basen był pusty.

REIZSCHNEIDER: O, no to byłem niezłe nawalony, co?

PANI SPECHT: To się zdarza przecież każdemu wielkiemu artyście.

Od czasu do czasu.

REIZSCHNEIDER: Też sobie to codziennie powtarzam.

PANI SPECHT: Boli jeszcze?

REIZSCHNEIDER: Nie. *Ona uciska jedno miejsce na ramieniu.*

Ała!?

PANI SPECHT: A jednak boli. Wymasuję cię.

REIZSCHNEIDER: Ale -

PANI SPECHT: Żadnych sprzeciwów! Połóż się. *Pani Specht masuje, huśtawka się kołysze.* Jesteś taki delikatny... wrażliwy... Czy ktoś się o ciebie troszczy?

REIZSCHNEIDER: Wolli usiłuje. *Boll skrada się za rogiem, gapi się na kołyszącą się huśtawkę.*

Ohhhhhh! Właśnie w tym miejscu.

PANI SPECHT: Uwielbiam cię. Jako aktora przede wszystkim.

REIZSCHNEIDER: Wyobrażam sobie. Ohhhh!

PANI SPECHT: Często zakochujesz się w swoich partnerkach?

REIZSCHNEIDER: Nigdy. Ludzie poznają się zbyt szybko i zbyt dobrze.

Boll powoli się zbliża.

Och, jak dobrze...Głębiej... Głębiej..

PANI SPECHT: Jeszcze głębiej?

REIZSCHNEIDER: Tak. – Proszę... Ohhhh...tu! Tu! – A niech to - Naprawdę dobrze to pani robi!

PANI SPECHT: Znasz Lawrence'a? D.H. Lawrence?

REIZSCHNEIDER: Jeszcze troszeczkę głębiej, proszę - tak!

PANI SPECHT: Uważał, że życie powinno się rozerotyzować... na nowo naładować – pierwotną, pogańską energią...

REIZSCHNEIDER: Och, jak dobrze. Mocniej! Uhhhhh –

PANI SPECHT: Rozluźnij się.

REIZSCHNEIDER: Ohhhhhh!

Boll stoi już za huśtawką.

BOLL: Rozumiem!

Pani Specht siada.

PANI SPECHT: Co pan zrozumiał?

BOLL: Zrozumiałem, że pani źle rozumiała Lawrence'a! *Chodzi wokół huśtawki.* Lawrence'owi nie chodzi o hedonistyczną, samowolną kopulację! Wszędzie i z każdym!

PANI SPECHT: Słońce jeszcze nie zaszło!

BOLL: Czeka tylko na ciebie!

PANI SPECHT: W takim razie dzisiaj się nie ściemni!

REIZSCHNEIDER: Tak, to ja w takim razie...

PANI SPECHT: Nie – proszę?

BOLL: Whisky jest w barku na górze po lewej stronie.

REIZSCHNEIDER: Nie. Na dole po prawej.

Reizschneider wężykiem wchodzi do domu.

PANI SPECHT: Na co ty sobie pozwalasz?

BOLL: Właśnie zostałem podmieniony, tak? Dlatego musiał koniecznie zagrać tę rolę. Dlatego!

PANI SPECHT: Cenię Pana Reizschneidera jako artystę!

BOLL: Bo padnę ze śmiechu!

Specht uciekając przed panią Dusseldorf zjawia się na górnym tarasie, zauważa tych dwoje, podstuchuje, podchodzi coraz bliżej.

PANI SPECHT: Ciebie też cenię.

BOLL: Jako mężczyznę?

PANI SPECHT: Jako ducha.

BOLL: Tak. Tak też się czuję. Jak duch twojego zmarłego kochanka. Mój Boże, Lydio, nie pamiętasz, co było między nami?!

PANI SPECHT: Owszem. Bardzo dokładnie pamiętam.

BOLL: I mimo to cenisz mnie tylko jako ducha?

PANI SPECHT: Właśnie dlatego.

BOLL: To nie może być prawda... nie powiedziałaś tego ...?

PANI SPECHT: A ty w ogóle jeszcze możesz...?

BOLL: Co?

PANI SPECHT: Myślałam, że ...tak naprawdę nie możesz?

BOLL: Nie od razu przystępowałem do rzeczy – bo... bo ja to... to...chciałem bardzo solennie przygotować.

PANI SPECHT: Ach, tak. Dlatego te wieczne pytania. Czułam się zawsze jak na przeglądzie technicznym.

Carmen wychodzi z domu.

CARMEN: Proszę pana?

BOLL: Nie pojmuję tego...

CARMEN: Przyszedł do pana fax!

Pani Specht zamiera.

SPECHT: Fax?! Cóż za przygoda! Lydia – fax!

Specht biegnie w podskokach do domu.

BOLL: Więc ty potrzebujesz, żeby cię po prostu dymać! Tak?

Szybkie, proletariackie skakanie na babie? Tak! Tak?!

PANI SPECHT: A daj ty mi spokój. Każdy orze jak może. Ty jesteś bardziej teoretykiem.

BOLL: Cha! Udowodnię ci, że nie masz racji!

Wpada Flapke.

FLAPKE: Pan Reizschneider spożywa śniadanie przy barze. On nie będzie grał mojego Henryka! Nigdy. Basta.

PANI SPECHT: Tak? A jeśli ja zechcę, żeby on zagrał tę rolę?

FLAPKE: To ja jestem autorem!

BOLL: Tak, myślę, że trzeba respektować wolę autora.

PANI SPECHT: Ach, tak? Dobrze. Jak sobie chcecie. Szkoda.

Z Teatru Kameralnego właśnie dali znać, że chętnie zgodzą się na prapremierę z panem Reizschneiderem w roli głównej. Jak się nazywa ten inny młody autor, który się do mnie zwracał?

BOLL: Osterkreuz – Dankwart Osterkreuz.

PANI SPECHT: Przecież w jego sztuce też była rola dla Reizschneidera. No tak – oni z całą pewnością – jak mu tam?

BOLL: Osterkreuz.

PANI SPECHT: Jego też przecież na pewno będą chcieli wystawić. Przepraszam muszę pójść zadzwonić.

BOLL: Wszystko jedno czy Flapke czy Osterkreuz. Reizschneider jest nieznośny. To pijak! Skazuje cały koncept na niepowodzenie!

FLAPKE: Proszę pani! Namysliłem się... Coś dojralszego może zrobić dobrze tej roli... Mój Henryk jest człowiekiem, który przedwcześnie się zestarzał – rozarty na miazgę wewnętrzną i zewnętrzną walką. Tak, tak to wygląda.

PANI SPECHT: A widzi pan – też tak myślałam. Przecież to jakby dla niego napisane? Nieprawdaż?

FLAPKE: Prawie tak.

BOLL: W jaki sposób doszedł pan do takiej zmiany poglądów?

FLAPKE: Nie wolno się człowiekowi zastanowić?

BOLL: To jest czysty oportunizm!

FLAPKE: Dopiero co pan go, proszę pana - bronił?

BOLL: Ja też się zastanowiłem! A przede wszystkim: bardzo uważnie go obserwowałem.

PANI SPECHT: Żadne takie! Reizschneider jest obsadzony! Koniec. Kropka.

Wchodzi do domu.

BOLL: *Krzyczy za nią.* Pani sprzeniewierza tę sztukę – i zdradza innych! *Do Flapke.* Karierowicz!

Idzie za nią. Flapke łapie się za głowę. Carmen wychodzi z napojami.

CARMEN: Wszystko w porządku?

FLAPKE: Nie. Jestem tchórzliwą, pozbawioną kręgosłupa świnią.

CARMEN: Każdy z nas gdzieś taki jest.

Wchodzi Reizschneider w towarzystwie Margit.

FLAPKE: To w takim razie wszystko jest w porządku. Wszystko idzie starym torem! Pycha – górą! Przynieś mi kawę.

Carmen wychodzi, Flapke siada przy stole. Reizschneider z Margit idą w kierunku plaży.

REIZSCHNEIDER: Tak, pycha. To fatalne. Fatalne.

MARGIT: Można wiedzieć, co pan w życiu robi?

REIZSCHNEIDER: Pani mnie nie zna?

MARGIT: Nie.

REIZSCHNEIDER: Nigdy mnie pani nie widziała?

MARGIT: Nie.

REIZSCHNEIDER: Nawet w telewizji?

MARGIT: Nie.

REIZSCHNEIDER: Moje nazwisko Reizschneider.

MARGIT: Partner biznesowy Spechta?

REIZSCHNEIDER: Jestem artystą.

MARGIT: Robi pan design do jego pieluszek?

REIZSCHNEIDER: Jestem aktorem.

MARGIT: Jak, jak pana nazwisko?

REIZSCHNEIDER: Reizschneider.

MARGIT: Reizschneider... Reizschneider... chwila moment...
dwadzieścia lat temu widziałam bardzo dobrego Hamleta... w
Hamburgu!

REIZSCHNEIDER: To właśnie jestem ja.

MARGIT: Był pan.

Patrzy na nią badawczym wzrokiem.

REIZSCHNEIDER: Myślę, że myśmy się gdzieś już spotkali. Czym
pani zarabia na życie?

MARGIT: Jestem koszem na śmieci. Dla pewnego wydawnictwa
czytam odrzucone przez redakcję teksty i piszę solidne uzasadnienia
odmowne.

*Na górze, na tarasie pojawił się Wolkowski. Zdenerwowany macha
egzemplarzem.*

WOLKOWSKI: Zaczekaj!

Zbiega do nich.

MARGIT: Przeczytał pan. Widać to po panu.

*Wolkowski chce coś powiedzieć, zaczyna, patrzy na Flapke, przerywa,
rozpaczliwie wymachuje egzemplarzem.*

MARGIT: Tak. To wstrząsające. Na razie.

Margit wychodzi w lewo na plażę.

WOLKOWSKI: Ona to przeczytała. Ja to przeczytałem – Ty też?

REIZSCHNEIDER: Jasne.

WOLKOWSKI: I co?

REIZSCHNEIDER: Całkiem przyjemne.

WOLKOWSKI: Nie przeczytałaś tego! To jest największa cha..

REIZSCHNEIDER: Nie tak głośno!

WOLKOWSKI: To jest największa ha...ńba, jaka mi się w życiu
przytrafiła!

REIZSCHNEIDER: Przestań – nie jest aż tak źle.

WOLKOWSKI: Nie przeczytałeś tego! – Jak się nazywa główny
bohater?

REIZSCHNEIDER: Nie teraz!

WOLKOWSKI: Jaki jest tytuł sztuki?

REIZSCHNEIDER: To był interesujący tytuł...

WOLKOWSKI: „Drgawki”. To się po prostu nazywa „drgawki”. Już to powinno dać mi do myślenia! A wiesz, kogo ja miałbym zagrać? Pedałowatego barmana, który zakochuje się w tobie i który postawił sobie zadanie, żeby cię ratować!

REIZSCHNEIDER: Interesujące zadanie.

WOLKOWSKI: Nie czytałeś!

REIZSCHNEIDER: Przeleciałem to.

WOLKOWSKI: Z dużej wysokości!

REIZSCHNEIDER: Uważam, że jest super.

WOLKOWSKI: Co się z tobą stało?

REIZSCHNEIDER: Super-sztuka.

WOLKOWSKI: Nie możemy w tym grać!

REIZSCHNEIDER: *Poważnie*. Ja muszę w tym zagrać!

Flapke schodzi w kierunku plaży.

WOLKOWSKI: Ach, właśnie rozmawiamy o pańskiej sztuce!

FLAPKE: No i co?

WOLKOWSKI: To jest jedno wielkie –

REIZSCHNEIDER: Zaszczytne zadanie móc w niej zagrać.

WOLKOWSKI: Czegoś takiego jeszcze nigdy nie czytałem!

REIZSCHNEIDER: Czegoś tak wspaniałego. To będzie interesujące.

WOLKOWSKI: Już nawet sam język –

REIZSCHNEIDER: Wielce poetycki.

WOLKOWSKI: To jest po prostu... po prostu –

FLAPKE: Proszę. Nie trzeba mi kadzić. Nienawidzę tego.

Podyskutujemy sobie później. W czasie prób.

Flapke wychodzi na lewo na plażę.

WOLKOWSKI: Co się z tobą dzieje?! Nie możesz być aż tak pijany!

REIZSCHNEIDER: Wolli, potrzebuję tych pieniędzy.

WOLKOWSKI: Takiego odszkodowania nikt nie jest w stanie zapłacić!

REIZSCHNEIDER: Sześćdziesiąt tysięcy.

WOLKOWSKI: Sześćdziesiąt tysięcy? To jest... to nie mało. – Ale wszystko jedno! Do diabła z tym!

REIZSCHNEIDER: Moja knajpa splajtowała!

WOLKOWSKI: Tobiasz...? Ty tam włożyłeś wszystkie pieniądze?

REIZSCHNEIDER: W każdym razie większą część.

WOLKOWSKI: A tę mniejszą osobiście wносиłeś każdego wieczoru.

REIZSCHNEIDER: Jestem skończony!

WOLKOWSKI: Przestań!

REIZSCHNEIDER: Ja już nie mogę...

WOLKOWSKI: Daj spokój! Już dawno nie wierzę w twoje łzy.

REIZSCHNEIDER: Wolli...Właśnie wywalili mnie z serialu!

WOLKOWSKI: Nie...?

REIZSCHNEIDER: Owszem! Normalnie mnie wykopali!

WOLKOWSKI: O, Boże... To jest szok. – Ale sam jesteś sobie winien!

REIZSCHNEIDER: Ciebie też wypieprzyli.

WOLKOWSKI: Czekałem na to.

REIZSCHNEIDER: Wolli – ciebie też.

WOLKOWSKI: I to są właśnie skutki!

REIZSCHNEIDER: Ciebie też wywalili, Wolli!

WOLKOWSKI: Mnie? A niby dlaczego? Co ja mam wspólnego z twoimi wyskokami!?

REIZSCHNEIDER: Ja też nie wiem... W każdym razie walczyłem o ciebie, jak lwica. Ale oni mówią – że funkcjonujesz tylko jako mój asystent. *Cisza* Przykro mi. Wiem, że lubiłeś tę rolę.

WOLKOWSKI: Nienawidziłem jej!

REIZSCHNEIDER: No, to dobrze się stało.

WOLKOWSKI: Nie pojmuję tego... Po piętnastu latach... tak po prostu... Wszystko za plecami kopa w de i nóż w plecy!

Ale mimo to nie będę grał w tym gównie. Już wolę trzeciego pazia w „Śpiącej Królownie” niż tego barmana – jakałą.

REIZSCHNEIDER: Ta sztuka jest powiązana z kontraktem w reklamie.

WOLKOWSKI: No i co z tego? Bądź raz w życiu trochę bardziej ambitny.

REIZSCHNEIDER: Wolli, przyjacielu podzielę się z Tobą.

WOLKOWSKI: A daj ty mi święty spokój.

REIZSCHNEIDER: Sto tysięcy! Sto tysięcy mam dostać za tę reklamę.

WOLKOWSKI: Sto tysięcy. O.K. Nie wiem w prawdzie, dlaczego – ale spróbuję.

REIZSCHNEIDER: Dzięki, Wolli! Dzięki!

WOLKOWSKI: Sto tysięcy...

REIZSCHNEIDER: O co chodzi w tej sztuce?

WOLKOWSKI: Acha!

REIZSCHNEIDER: Krótkie streszczenie. No, dawaj!

WOLKOWSKI: Tego nie da się opowiedzieć!

REIZSCHNEIDER: To już jest jakiś punkt zaczepienia.

MARGIT: *off* Ale pan przecież chciał ze mną porozmawiać?

Flapke wpada z lewej.

REIZSCHNEIDER: Ach! Już się cieszę.

Flapke znika z prawej – zaraz potem z lewej pojawia się Margit.

MARGIT: No i co? Mam mu to powiedzieć ?

WOLKOWSKI: Co?

MARGIT: Że odmawiacie ról?

WOLKOWSKI: Muszę wyczyścić moje muszelki.

Idzie do domu.

MARGIT: Jednak nie? Szkoda... Kiedyś był pan kimś. Kiedyś pokazał pan ludziom rzeczy, o których wcześniej nie mieli pojęcia.

REIZSCHNEIDER: Ach, tak...A dzisiaj...?

MARGIT: Dzisiaj jest pan tylko małąką tańczącą na jarmarku, która ze smutkiem w oczach stroi miny do gawiedzi.

REIZSCHNEIDER: Jak pani może coś takiego powiedzieć...?

MARGIT: Może jeszcze bardziej mnie to boli niż pana?

Pani Specht tanecznym krokiem wchodzi przez ogród.

PANI SPECHT: Proszę pana, wszystkie nieporozumienia się rozwiały. Będzie pan – Dobrze się czujecie?

MARGIT: Pierwszorzędnie.

REIZSCHNEIDER: Ja jeszcze czegoś chcę!

MARGIT: Tak, wziąć kasę.

REIZSCHNEIDER: A kim pani w ogóle jest, że waży się pani coś takiego powiedzieć! Ja jestem w encyklopedii!

Reizschneider idzie w kierunku plaży.

PANI SPECHT: Margit...?

Specht pojawia się na tarasie.

MARGIT: Wszyscy jesteśmy prostytutkami, nieprawdaż?

SPECHT: Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy!

PANI SPECHT: Przecież ona kłamie!

SPECHT: Na dłuższą metę nie mamy żadnych szans!

PANI SPECHT: Jak możesz coś takiego powiedzieć?

SPECHT: Wiem, co mówię.

PANI SPECHT: Jak możesz tak o nas mówić?

SPECHT: Co? Nie - Miałem na myśli firmę. Właśnie przyszedł bilans kwartalny. Tragedia. To wina niżu demograficznego! Mniej dzieci – mniej pieluszek!

PANI SPECHT: Ach, Gerhard, jakoś to będzie.

SPECHT: Jakoś będzie? Myślisz, że ze względu na mnie będą więcej srać?

PANI SPECHT: Gerard, proszę cię! Tego nie można słuchać.

SPECHT: To nie słuchaj. Nie mogę już finansować tej sztuki.

PANI SPECHT: Co? Raczej nie chcesz!

SPECHT: Nie da rady! Po prostu, za dużo starych ludzi.

MARGIT: A starcy nie potrzebują pieluszek?

SPECHT: Chwileczkę? Masz na myśli pieluszki dla staruszków?

MARGIT: A że coraz mniej staruszków może sobie pozwolić na sztuczną szczękę – mądrze by było wprowadzić na rynek nową papkę. Może w kooperacji z siecią sklepów w Hamburgu. Geria- mac w słoiczku. „Fun again Liquidburger”.

SPECHT: *Śmiejąc się.* To genialne!

MARGIT: A Reizschneider zaprezentuje nową pieluszkę w telewizji.

SPECHT: On we własnej osobie? Reizschneider w pieluszkach?

PANI SPECHT: Margit!?

SPECHT: Firma jest uratowana!

PANI SPECHT: Gerhard, nie mówisz tego poważnie?

SPECHT: Reizscheider połknął haczyk. Muszę to wykorzystać.

MARGIT: Rodzaj reklamy szokującej.

PANI SPECHT: Dość tych żartów!

SPECHT: Mam nadzieję, że on na to pójdzie?

MARGIT: Oh, jak mu się kilkoma banknocikami przed tymi wielkimi niebieskimi oczami zamacha, zrobi wszystko.

PANI SPECHT: Margit, dość tego! Sama się tu wprasza – a potem kpi sobie ze wszystkiego i wszystkich!

SPECHT: No, już dobrze. To był żart.

PANI SPECHT: A wiesz dlaczego chce mi wszystko zepsuć?! Bo jej się w życiu nie udało! Ale to nie jest moja wina! Radź sobie z tym sama! Pakuj manatki i wynoś się. Nie chcę cię więcej widzieć!

MARGIT: To pierwszy raz w życiu chcemy tego samego.

Pani Specht wychodzi.

SPECHT: Naprawdę jesteście siostrami?

MARGIT: Nie. Tylko tak udajemy. Jej matka wyszła za mąż za
mojego ojca. A wy? Naprawdę jesteście parą?

SPECHT: Nie czuć tego? Dlaczego trafiają mi się tylko takie kobiety
jak Lydia?

MARGIT: Jaką przynętę się zakłada - takie ryby się łowi.

Pani Duesseldorff wychodzi z za rogu.

DUESSELDORF: Gerhard, miałam cię za kulturalnego człowieka.

SPECHT: Ale nie jestem . I nie chcę być!

DUESSELDORF: Mimo to musimy porozmawiać.

SPECHT: A może byś coś zjadła, hm?

DUESSELDORF: Nie jestem głodna.

SPECHT: A to wielka szkoda.

DUESSELDORF: Dlaczego?

SPECHT: Bo jesteś kulturalną osobą i nie gadasz z pełnymi ustami.

*Pani Duesseldorff odchodzi obrażona. On wydaje z siebie długi
zwierzęcy okrzyk.*

Przepraszam... ale, pokutuję tu za wszystkie moje grzechy.

MARGIT: Dlaczego taki facet jak ty jest taki bogaty?

SPECHT: Nic innego nie umiem. Naprawdę wyjeżdżasz?

MARGIT: Przecież słyszałeś. Muszę.

SPECHT: Szkoda. Jesteś jedyną osobą, którą tu mogę znieść.

Przynajmniej do pewnego stopnia. Nie odchodź. Zostań. Dotrzymaj
mi towarzystwa.

MARGIT: Przy czym?

SPECHT: Chcę się powiesić.

MARGIT: Dlaczego musiałeś koniecznie jeszcze raz się zenić?

SPECHT: Żona należy do podstawowego wyposażenia.

W każdym razie dla kogoś z moją pozycją. I nie myśl sobie, że nie
widzę co Lydia wyprawia. Wiem - co było – co jest – i – co będzie.

Było wielu – jest Boll – a Reizschneider ma być.

MARGIT: W ogóle nie jesteś zazdrosny?

SPECHT: Przecież się staram. Ale mi się nie udaje. Nie interesuje
mnie to! I tak jest ze wszystkim. Wszystko przechodzi gdzieś obok!

Niczego nie mogę dotknąć! Ale wszystko mnie drażni! Chciałbym

stąd uciec, ale nie wiem dokąd. Chciałbym zostać, ale nie mam z kim!

I tak siedzę i słucham jak wrzeszczą mewy. Jestem żaloszny.

Wypasiona świnka – skarbonka w drodze do rzeźni. Widzisz, i dlatego właśnie powiesić się to by była super-alternatywa.

MARGIT: Tak, do tego możemy się razem przymierzyć – ale potem.

Przedtem można by się trochę zabawić.

SPECHT: Zabawić?! O, mój Boże. Nie. Ja już wszystko przerabiałem!

MARGIT: Może jeszcze nie wszystko?

SPECHT: Wszystko! Jestem bogaty! Mam obowiązek świetnie się bawić! Rozszerzony program maturalny!

MARGIT: Naprawdę dawno nie spotkałam bardziej żalosnej kreatury niż ty! A wiesz dlaczego? Bo tylko zrzędzisz!

SPECHT: A co mam robić?!

MARGIT: Bronić się!

SPECHT: Niby jak?!

MARGIT: Dajmy im trochę potaćzyć. Na przykład –możesz wymóc na Flapke, żeby w kulminacyjnym punkcie sztuki chodziło o pieluszki.

SPECHT: Oh... *Cisza.* Ależ tak... *Wstaje.* Margit, Margit... To naprawdę może sprawić przyjemność! Jest tylko jeden hak. On na to nie pójdzie.

MARGIT: Pójdzie. Możemy się założyć. Na takim balu próżności nikt nie opuści żadnego tańca. A jeśli na to nie pójdzie – to jeszcze lepiej dla ciebie.

SPECHT: Dlaczego?

MARGIT: No zastanów się? Wtedy masz powód –

SPECHT: Żeby nie zapłacić! Słusznie! I oni się stąd wyniosą – a ja nie muszę płacić! *Flapke wchodzi z prawej, Specht go nie zauważa.* Z nikim nie muszę gadać – i nie muszę płacić!

MARGIT: Gerhard?

SPECHT: Nie muszę płacić i nareszcie mam urlop! Bez tych wszystkich kleszczy!

MARGIT: Gerhard, tam...pan Flapke!

SPECHT: Acha. – Ty myślisz że – już?

MARGIT: Jasne. Natychmiast.

SPECHT: Co mam powiedzieć?

MARGIT: Jak się mogą nazywać twoje nowe pieluszki dla staruszków?

SPECHT: Murmli. Senior. – Prosenior. Murmli Prosenior.

MARGIT: Wspaniale. *Flapke chce się przemknąć niepostrzeżenie.*

A, Panie Flapke, pan pozwoli do nas! Właśnie rozmawiamy o pańskiej sztuce.

FLAPKE: Wiem, co pani o niej sądzi.

MARGIT: Pan Specht i ja – jeszcze raz ją wspólnie przeczytaliśmy i musimy zrewidować nasz pogląd. To jest wielkie.

SPECHT: Super-scenariusz. Genialna śmierć skarpetkowa.

MARGIT: Kamień milowy.

SPECHT: Ciach, ciach – ale się dzieje!

FLAPKE: Tylko proszę mi nie kadzić.

Flapke chce wejść do domu.

MARGIT: Tylko jeszcze coś! Taki mały szczegół. Pieluszki i Murmli – to jeszcze trzeba wpisać.

FLAPKE: Proszę?

SPECHT: Tego brakuje.

FLAPKE: Nie rozumiem?

MARGIT: Więc, pan Specht chciałby, żeby w monologu na moście padło słowo o pieluszkach i nazwa „Murmli”.

FLAPKE: Pieluszki i murmli?

MARGIT: Właśnie. Murmli to nazwa nowo rozwiniętego modelu pieluszki. Murmli. Prosenior.

SPECHT: Produktplacement. U mnie zawsze tak jest – zabijam co najmniej dwie muchy za jednym zamachem.

FLAPKE: Rozumiem. Ale nie mogę spełnić pańskiego życzenia.

SPECHT: To było życzenie? Młody człowieku, zawsze jak miałem jakieś życzenie, to mi się nie spełniało.

MARGIT: Tak, wszystko jest sztuką dawania i brania.

Cisza. Flapke wchodzi na taras, ale przystaje przed stolikiem z ciastem.

SPECHT: Tacy są ci artyści. Już zaczyna się zastanawiać.

Flapke nalewa sobie kawy i wypija jednym haustem.

FLAPKE: Jak tak sobie myślę... Jak tak się zastanawiam... to...

MARGIT: Tak?

Następna kawa.

FLAPKE: To - przychodzi mi do głowy pomysł...

SPECHT: Tak?

MARGIT: Czy już przyszedł?

FLAPKE: Tak.

Margit i Specht stoją teraz za nim.

SPECHT: No i co?

MARGIT: Postanowił zostać?

Flapke się waha.

FLAPKE: Zaraz wracam.

SPECHT: Stawiamy na pana. *Flapke wchodzi do domu.* Zrobi to czy nie?

MARGIT: Zrobi. *Pani Specht niezauważona wychodzi z domu.*

Wszystko będzie dobrze!

SPECHT: W każdym razie – sprawia okropną przyjemność!

PANI SPECHT: Tobie coś sprawia przyjemność?

SPECHT: Tak! Ten projekt nagle zaczął mi sprawiać przyjemność.

PANI SPECHT: Co to się stało?

SPECHT: Twoja siostra przemówiła mi do rozumu.

MARGIT: Lydio, muszę cię przeprosić. Od tej chwili będę powściągliwa. Obiecuję. I przeproszę Pana Reizschneidera.

PANI SPECHT: *Wzruszona.* Ach, moi drodzy...

SPECHT: My ciebie też.

MARGIT: Grunt to rodzinka...

PANI SPECHT: Dzisiaj wieczorem będą befsztyki. Obiecuję.

SPECHT: Dziękuję. Moja kochana, wierna żona...

Flapke staje w drzwiach.

PANI SPECHT: Panie Flapke, cieszę się! Mój mąż nie będzie już pracował przeciwko nam – będzie pracował z nami.

SPECHT: Może wniesie jakiś pomysł albo nawet kilka.

PANI SPECHT: Proszę, proszę! Dlaczego nie? Kocham cię! Muszę się teraz zająć gośćmi.

Pani Specht wchodzi do domu .Cisza.

MARGIT: No i?

FLAPKE: A więc – pieluszki i ...?

SPECHT: Murmli.

FLAPKE: Murmli. Pieluszki i murmli... A bez tego...?

MARGIT: Cóż, bez tego...

Margit i Specht wzruszają ramionami.

FLAPKE: Rozumiem.

SPECHT: Każdy ma mieć przyjemność.

III AKT

Wieczór. Carmen rozstawia na tarasie krzesła. Pani DUESSELDORF cichutko szlochając siedzi pod murkiem na kamieniu w niezbyt eleganckiej wieczorowej sukience ściskając w dłoniach kapelusz wielkości młyńskiego koła. PANI SPECHT stoi przy niej.

PANI SPECHT: Lotte, to nie jest tak. Coś sobie wymyśliłaś.

Wszyscy cię bardzo, bardzo kochamy!

DUESSELDORF: Gdybym umarła tu przy tym stole nikt by tego nie zauważył!

PANI SPECHT: Z pewnością bardzo by nam ciebie brakowało. Cóż za piękny wieczór.

DUESSELDORF: Tak... Do zakochania...

PANI SPECHT: Popatrz – tam, ten żaglowiec! Jak cudnie...

DUESSELDORF: Tak... *Pani DUESSELDORF znowu płacze.*

Samotny żagiel w niebios toni bieleje na błękitach fal... Ciężko jest być samotną... Nie wiem po co ja tutaj jestem?

PANI SPECHT: Bo ja cię potrzebuję. Bo jesteś moją przyjaciółką. Bo...

DUESSELDORF: Bo?

PANI SPECHT: Obiecałam, że nic nie powiem. Ale myślę, że powinnaś już to wiedzieć: Boll prosił, żebyś tu przyjechała.

PANI SPECHT: Boll? Zwariowałaś.

PANI SPECHT: Interesuje się tobą!

DUESSELDORF: Przestań. To za tobą się uganiam.

PANI SPECHT: Za mną? Boże! Nie. Ja go tylko drażnię. Nie zauważyłaś jaki jest w stosunku do mnie agresywny?

DUESSELDORF: Ale nawet na mnie nie popatrzy.

PANI SPECHT: To jest właśnie najlepszy dowód. Jest nieśmiały.

DUESSELDORF: On?

PANI SPECHT: Tak naprawdę to bardzo nieśmiały człowiek. Uwierz mi, jest zadurzony w tobie po uszy.

DUESSELDORF: Tak? Co ty mi opowiadasz? Ważę osiemdziesiąt cztery kilo.

PANI SPECHT: Osiemdziesiąt pięć. Ale on tylko przy jedzeniu jest wegetarianinem.

DUESSELDORF: Co to znaczy?

PANI SPECHT: Lubi mieć trochę więcej mięsa w garści.

DUESSELDORF: Naprawdę? – A skąd ty to wiesz?

PANI SPECHT: Od czasu do czasu otwiera przede mną serce.

Boll wyłazi z domu. Właśnie idzie. Do ataku!

Boll siada w dużej odległości. Pani DUESSELDORF wkłada kapelusz i posyła mu ciepły uśmiech – on odwzajemnia się wymuszonym grymasem. Pokaż mu nogi. Bardzo dobrze. Oby tak dalej. Ośmiel go. Do Bolla. Czy ona nie wygląda niezwykle?

BOLL: Tak, niezapomniany widok.

DUESSELDORF: Zasadniczo kupuję letnie kolekcje w Mediolanie.

BOLL: Słyszałem, że najlepsi włoscy designerzy siedzą tymczasem w Chinach. Globalizacja, rozumie pani?

DUESSELDORF: O, to muszę następnym razem wybrać się do Chin?

BOLL: Tak, gorąco polecam.

Specht, Flapke, Margit wychodzą z domu. Flapke wynosi na bok termos z kawą, pije, chodzi wte i wewte.

SPECHT: *Z ulgą w głosie.* Carmen, gratuluję befsztyków! Krwiste jak z dzikiej puszczy.

BOLL: Nie jesteśmy zwierzętami.

SPECHT: Chociaż zachował się pan właśnie nieco animalnie.

Porozmawiajmy jak mężczyzna z mężczyzną: dlaczego pocierał pan nogą o moje udo? Powiem od razu, że jestem normalnej orientacji seksualnej. Czy może nie o mnie panu chodziło?

PANI SPECHT: Może szukał nóg pani Duesseldorf?

SPECHT: Ależ nie? Ach, tak? Pani DUESSELDORF?

DUESSELDORF: Chyba nie powinno was to obchodzić.

SPECHT: Gratuluję, Lotte. To bardzo czuły mężczyzna.

BOLL: No, nareszcie coś się zacznie .

Pojawili się właśnie REIZSCHNEIDER z WOLKOWSKIM.

REIZSCHNEIDER już nieźle podcięty.

WOLKOWSKI: Nie będę ukrywał, że nienajlepiej się z tym czuję. Pierwsza próba otwarta? Czuję się jakbym grał główną rolę w wiwisekcji.

REIZSCHNEIDER: Ale przyjmujemy wyzwanie!

WOLKOWSKI: Panie Flapke – najpierw jedno pytanie: stąd dotąd zrobimy może mały skrótik?

SPECHT: Nie będzie żadnych skrótów. A jak nie, to ja też coś obetnę.

WOLKOWSKI: Albo – albo – czy tak?

REIZSCHNEIDER: Wszystko albo nic!

FLAPKE: Właśnie tak.

REIZSCHNEIDER: W takim razie wszystko! Cały ten mistyczny tajemniczy tekst.

SPECHT: Scenę na moście, proszę.

PANI SPECHT: Znasz tę sztukę?

REIZSCHNEIDER: Scenę na moście?

SPECHT: Daję na to pieniądze i życzę sobie scenę na moście.

Jest wzruszająca. Przynajmniej dla mnie.

PANI SPECHT: Naprawdę to czytałeś?

SPECHT: Czy ja kiedyś kupiłem kota w worku? No, jazda!

FLAPKE: A więc scena na moście. *Rozdaje aktorom nowe kartki.* To jest balustrada mostu – znaczy – publiczność to jest przepaść...

PANI SPECHT: Jak poetycko.

BOLL: I prawdziwie.

FLAPKE: Panie Reizschneider! Proszę przeczytać pierwsze zdanie didaskaliów. Głośno.

REIZSCHNEIDER: *Czyta.* Henryk stoi późnym wieczorem na moście w pobliżu portu i nie jest alkoholikiem. I nie jest pijany.

FLAPKE: Zrozumiano?

REIZSCHNEIDER: Chciałem zrobić inne założenia, ale – jak pan uważa.

FLAPKE: Sytuacja jest taka: Henryk rzuca się na balustradę i patrzy w przepaść. Po jego początkowym monologu przybiega Meltür i próbuje przemówić mu do rozsądku. Przeciągnąć na stronę życia.

Czy wszystko póki co, jasne?

REIZSCHNEIDER: Jasne.

WOLKOWSKI: Jasne. Po co jeszcze to próbować?

SPECHT: Zaczynamy!

DUESSELDORF: Och, jakie to ekscytujące.

Historyczny moment. *REIZSCHNEIDER czyta dramatycznym głosem.*

REIZSCHNEIDER: Gdzie skrzypi noc? – Ach! Tam mi zwiąła i szczyrzy się ohydnie. Kto przywiódł mnie do tego miejsca pod maciczną śluzę? W brzuchu mym krzemień przeżuwam, co...

WOLKOWSKI: Przepraszam, dlaczego on mówi, że noc skrzypi?

FLAPKE: Portowy dźwig skrzypi w oddali. Nie czytał pan didaskaliów?

REIZSCHNEIDER: Więc to dźwig skrzypi? Rozumiem!

A widzisz, wszystko ma swoją logikę. Dlatego potrzebny jest reżyser! Dziękuję. *Wraca na pozycję.* Gdzie skrzypi noc? – Ach, tam mi zwiąła i szczyrzy się ohydnie. Kto przywiódł mnie do tego miejsca pod maciczną służę? W brzuchu mym krzemień przeżuwam, co...

WOLKOWSKI: A jak trzeba rozumieć „Ach, tam mi zwiąła i szczyrzy się ohydnie”?

FLAPKE: Wiedziałem, że z nim będą problemy...

Proszę przeczytać uwagi odautorskie! – Nad nim startuje samolot! A więc, proszę jeszcze raz.

REIZSCHNEIDER: Gdzie skrzypi noc? – Ach, tam mi zwiąła i szczyrzy się ohydnie. Kto przywiódł mnie do tego miejsca pod maciczną służę? W brzuchu mym krzemień przeżuwam, co mnie w dół ciągnie.

Wolkowski wbiega.

WOLKOWSKI: Hej, Henryku! Nie obdzieraj się z ciała!

FLAPKE: Za wcześnie pan wszedł! Kolega ma jeszcze tekst!

REIZSCHNEIDER: Znam ten problem.

FLAPKE: Proszę dalej!

WOLKOWSKI: Szczerzący się samolot? Jak pan wpadł na tę metaforę?

FLAPKE: W momencie jak wczułem się w jego sytuację!

WOLKOWSKI: Ach, tak...

BOLL: To przecież nie ma sensu!

SPECHT: Dalej! Mecz jest w telewizji.

BOLL: Proszę nie zapominać, że Henryk walczy o swoje zdrowie psychiczne!

WOLKOWSKI: My wszyscy, razem z nim przegramy tę walkę.

FLAPKE: Jeszcze raz! Od początku – bez przerywania!

REIZSCHNEIDER: Gdzie skrzypi noc? – Ach, tam mi zwiąła i szczyrzy się ohydnie. Kto przywiódł mnie do tego miejsca pod maciczną służę? W brzuchu mym krzemień przeżuwam, co mnie w dół ciągnie!

FLAPKE: I do góry !

REIZSCHNEIDER: I do góry!

WOLKOWSKI: Przepraszam – ale czy to nie jest pewna sprzeczność – kamienie w brzuchu, które ciągną mnie w dół - a potem - do góry!

REIZSCHNEIDER: Przestań już!

FLAPKE: To była uwaga odautorska! Do góry, na barierkę – on chce skoczyć!

REIZSCHNEIDER: A widzisz – jednak do góry! To genialne!

SPECHT: Jak tu jeszcze ktoś o coś zapyta, to się naprawdę wkurzę.

REIZSCHNEIDER: W brzuchu mym krzemień przeżuwam, co mnie w dół ciągnie! *Wskakuje na balustradę.*

Z drogi – strachu, ty pierwotna jaszczurko o skórze pełnej pęknięć i blizn! Z drogi!

Zeskakuje z barierki. Wolkowski wbiega – patrzy.

FLAPKE: I co teraz? – Pański przyjaciel przyszedł pana ratować – a pan już skoczył? No? Sztuka by się skończyła!

BOLL: On w ogóle nie wie, co gra.

WOLKOWSKI: Przecież on i tak chce się zabić?

FLAPKE: Ale jeszcze nie tutaj!

WOLKOWSKI: A dlaczego nie? To byłby genialny skrót!

SPECHT: Sam napiszę tę sztukę. Mam dość.

PANI SPECHT: Zostaniesz tu.

FLAPKE: Dalej!

Reizschneider wspina się na barierkę.

REIZSCHNEIDER: Zejdź mi drogi!

Wolkowski wbiega.

WOLKOWSKI: Hej, Henryku! Nie obdzieraj się z ciała!

REIZSCHNEIDER: Zostaw mnie. Jak wiotka struna, pomiędzy kolcem ziemi a kolcami nieba, pośrodku płynę drząc o dźwięk czysty.

WOLKOWSKI: Uchwyc się miłości!

REIZSCHNEIDER: Zostaw mnie!

WOLKOWSKI: Rzuć się w życie. W rozkosz żarcia!

Wolkowski brutalnie ściąga go z balustrady.

REIZSCHNEIDER: Ała! – odbiło ci?

WOLKOWSKI: Mam cię ratować.

REIZSCHNEIDER: Specjalnie tak zrobiłeś!

WOLKOWSKI: Tak jest w didaskaliach.

REIZSCHNEIDER: Że mi łamiesz żebra?!

WOLKOWSKI: Primadonna operowa!

FLAPKE: Jeszcze raz!

REIZSCHNEIDER: Nie. Jestem już uratowany!

SPECHT: Dalej, już! Zaraz będzie mój ulubiony moment.

Reizschneider i Wolkowski popychają się wzajemnie.

WOLKOWSKI: Świat nie obiecuje bez powodu!

REIZSCHNEIDER: Ty, ty! – ważysz się tak mówić, ty, taki olśniewający i młody!

BOLL: Olśniewający i młody – z tym będzie ciężko.

REIZSCHNEIDER: Mnie zranił świat – na zewnątrz widać, co zżera mnie od wewnątrz.

WOLKOWSKI: No, to już – skacz. Wykap się w litości nad sobą samym.

REIZSCHNEIDER: Zostaw mnie! Zgubiłem siebie. Ponieważ znalazłem to, czego nie szukałem. Nie – chcę – więcej – szukać...

WOLKOWSKI: Ach, mój Murmli – ach mój Murmli ...?

SPECHT: Brawo.

Cisza.

FLAPKE: Dalej! Dalej!

SPECHT: Ach, mój Murmli?

WOLKOWSKI: Ach, mój Murmli...

PANI SPECHT: Gerhard...

WOLKOWSKI: Ach, mój Murmli-

SPECHT: Najpierw ze śmiercią rozmawiać –

WOLKOWSKI: By się znowu położyć w pieluszki...?

BOLL: Stop! Stop! Pan zdradza swój tekst, młody człowieku...

Murmli – pieluszki. Co to ma być?

SPECHT: On po prostu wie dla kogo pracuje.

PANI SPECHT: Gerhard?!

WOLKOWSKI: Ale ja nie wiem, skąd ja mam to wziąć?! Murmli?

Nie rozumiem o co chodzi? Proszę mi to wytłumaczyć! Chce pan robić komedię? Tak? To mogę panu zaproponować coś zupełnie innego! Wtedy wszystko zrozumieć. I ja i widzowie!

SPECHT: O co mu chodzi? Świetna sztuka.

WOLKOWSKI: *Do Margit.* Pani też tak uważa?

MARGIT: Wielki tekst.

WOLKOWSKI: Potrzebuję przerwy. Jutro próbujemy dalej.

FLAPKE: Nie! Teraz!

WOLKOWSKI: Przerwa! Przerwa! Przerwa!

Wolkowski chwyta za butelkę koniaku, przechyla i pije wielkimi łykami. REIZSCHNEIDER chce mu odebrać butelkę. WOLKOWSKI ucieka z butelką w kierunku plaży.

REIZSCHNEIDER: Zawsze mnie musisz małpować?

BOLL: Pan przechodzi sam siebie w tej roli. Tak, kochanka - kochanka gra pan świetnie. Mimo podeszłego wieku. Ale więcej nie da rady!

PANI SPECHT: Wstydz się!

BOLL: Nie trzeba się wstydzić prawdy!

Wychodzi w teatralny sposób, pani DUESSELDORF za nim.

FLAPKE: Jest pan zadowolony?

SPECHT: Bardzo. Bardzo zadowolony.

Flapke wychodzi.

PANI SPECHT: Szantażysta!

SPECHT: Jak coś daję, to chcę coś z tego mieć.

PANI SPECHT: Czasem już nie wiem, dlaczego jeszcze z tobą jestem.

SPECHT: To dobrze nad tym pomyśl.

MARGIT: Panie Reizschneider, muszę pana przeprosić. Teraz wiem, że nie chodzi panu o pieniądze, lecz o sztukę. To będzie wstrząsający teatralny wieczór. Dziękuję.

SPECHT: Teraz obejrzę mecz.

PANI SPECHT: A ja muszę pójść na spacer. Czy może pan mi towarzyszyć?

REIZSCHNEIDER: Nie, jestem zmęczony.

SPECHT: Niechże pan idzie. Niebezpiecznie, żeby kobieta sama chodziła.

REIZSCHNEIDER: Ale-

SPECHT: Żadnych sprzeciwów. Można powiedzieć, że jest pan moim pracownikiem.

MARGIT: Ale człowiek jest kompletnie wykończony.

SPECHT: To świeże powietrze dobrze mu zrobi.

PANI SPECHT: Dobranoc kochanie. *Całuje go w czołko.* Idzie pan?

REIZSCHNEIDER i PANI SPECHT wychodzą w kierunku plaży.

SPECHT: Mam złe przeczucia.

MARGIT: Dlaczego?

SPECHT: Jeszcze zrobią tę sztukę a ja za to wszystko zapłacę!

MARGIT: Spokojnie. To jeszcze nie koniec. Jutro rano porozmawiasz z Reizschneiderem o reklamie nowych pieluszek.

Postawisz warunek, żeby Wolkowski wziął w tym udział. Bez Wolkowskiego - nie ma reklamy. Wolkowski będzie karmił Reizschneidera nową papką.

SPECHT: W pieluszkach. Obaj w pieluszkach?

MARGIT: Obaj w pieluszkach.

SPECHT: I oczywiście od razu zrobimy próbę.

MARGIT: I nagranie!

SPECHT: Oni na to nie pójdą. A potem zrzucam balast.

BOLL wychodzi z domu. MARGIT wchodzi do domu.

SPECHT: Mogę zgadnąć? Szuka pan mojej żony?

BOLL: Tak, chciałbym ją przeprosić.

SPECHT: Lydia jest z panem REIZSCHNEIDEREM na plaży.

Poprosiłem go, żeby jej potowarzyszył. Żeby jej się nic nie stało. Na plaży jest tak ciemno.

BOLL: Tak...

SPECHT: Słyszysz pan jak świerszcze grają? To ich gody.

Tak, noc dla zakochanych. Dobranoc. Miłych snów.

Specht wchodzi do domu.

BOLL: Baran!

BOLL staje przed stolikiem. Za jego plecami wraca Wolkowski, dopija butelkę, osuwa się przy murze, patrzy przed siebie.

Nie dam się tak traktować. *WOLKOWSKI zwraca na niego uwagę, obserwuje go.* Ja go... ja go...

Wkłada widelczyk do kieszeni marynarki.

Pani Duesseldorf pojawia się w szlafroku na balkonie.

DUESSELDORF: Pan też nie może zasnąć?

BOLL: Niech pani tu zejdzie.

DUESSELDORF: Tak jak stoję?

BOLL: Natychmiast.

DUESSELDORF: Panie Boll...?

BOLL: No już!

Ona znika z balkonu. On zwija jeszcze jeden widelczyk. Pani

Dusseldorf wybiega z domu jak na skrzydłach.

DUESSELDORF: Już jestem...

BOLL: Za mną!

DUESSELDORF: Dokąd?

BOLL: Na plażę!

DUESSELDORF: Oh...

BOLL: Chcę panią.

DUESSELDORF: Ale z pana zwierzę...

BOLL: Tak czy nie?

DUESSELDORF: Jak mnie pan już tak pyta – to tak.

Ciągnie ją na plażę.

WOLKOWSKI: Albo ja jestem pijany, albo on kradnie widelce.

PRZERWA

IV AKT

Następnego dnia rano.

Podenerwowany FLAPKE siedzi przy stole nakrytym do śniadania.

Wlewa w siebie kawę, co chwilę podrywa się z krzesła i znowu siada.

Carmen przynosi świeżą kawę.

FLAPKE: Powiesić się? Przeszarżałe. Zastrzelić? Wszyscy na świecie tak robią. Rzucić pod samochód? Banalne. Otruć? Boże, jakie niesmaczne. Podciąć żyły? Za długo trwa i strasznie wytarte.

Zmiażdżyć sobie głowę? Windą! Tak, może to jest to.

CARMEN: Masz jakieś problemy?

FLAPKE: Nie, nie. Szukam właściwego sposobu jak się zabić.

FLAPKE napętnia następną filiżankę.

CARMEN: To już dwunasta filiżanka.

FLAPKE gwałtownie wstaje.

FLAPKE: Chce mnie pani kontrolować? No? No co?

CARMEN: Gdybyś chciał pogadać, to jestem w kuchni.

Carmen wchodzi do domu. Reizschneider podcięty, ostrożnie wychodzi na dwór. Flapke chodzi pospiesznie tam i z powrotem, przewraca krzesło, podnosi, dalej biega, uderza pięścią w stół, gapi się na Reizschneidera, dalej lata. Przy całej tej akcji, co chwila wzdycha i stęka.

FLAPKE: Dzisiaj stawiamy sobie pytania bez odpowiedzi i odpowiemy na nie. Rozumie pan!? Znajdziemy odpowiedź?

REIZSCHNEIDER: Na pewno.

Flapke wlewa w siebie następną kawę.

FLAPKE: Jaka słaba – jakie słabizny – jakie słabe punkty – widzi pan w mojej sztuce?

REIZSCHNEIDER: No, było by trudno wskazać nawet jeden.

FLAPKE: Co, co – proszę? Co chce pan przez to powiedzieć?

REIZSCHNEIDER: Fantastyczna sztuka - wielka – w swojej odwadze.

FLAPKE podchodzi bliżej.

FLAPKE: Słabe punkty?!

REIZSCHNEIDER: Co?

FLAPKE: Gdzie można się przypieprzyć?

REIZSCHNEIDER: Kto chce się przypieprzyć?

FLAPKE: Ja!?

REIZSCHNEIDER: *Odpowiada krzykiem.* Niech pan da spokój! Jeżeli spieprzy pan tę sztukę, to będzie pan miał - do cholery - ze mną do czynienia!

FLAPKE: Był pan teraz szczery?

REIZSCHNEIDER: Kocham ją!

FLAPKE: *Cicho.* Samobójstwo nie jest jeszcze takie jak sobie wyobrażam... Ale co pan myśli o tym: on kładzie się na podłodze, wsuwa głowę do szybu windy. Słyszy jak nad nim rusza winda – a potem -

REIZSCHNEIDER: A potem?

FLAPKE: Koniec. Co pan o tym sądzi?

REIZSCHNEIDER: Cóż... taka śmierć.

FLAPKE: Czy to jest dobra śmierć?!

REIZSCHNEIDER: Śmierć jak śmierć.

FLAPKE: Jest coś takiego jak głupia śmierć. I ja mam wrażenie, że ta śmierć jest idiotyczna. Tak idiotyczna, jak cała reszta sztuki!? Cha! Cha! Niech pan nic nie mówi!

FLAPKE wychyla jeszcze jedną filiżankę i wbiega do domu.

REIZSCHNEIDER: Nie doceniałem go.

FLAPKE wraca.

FLAPKE: Albo jak – albo jak – albo jak pan myśli?

REIZSCHNEIDER: Jestem pańskiego zdania. Znaczy jestem przekonany.

FLAPKE: Ja też. Ja też. Też jestem przekonany!

Carmen sprząta ze stołu.

REIZSCHNEIDER: Trzeba mieć przekonanie.

FLAPKE: Tylko tak można... tylko tak...

Wyjmuje Carmen z ręki dzbanek z kawą i szturmuję drzwi domu.

CARMEN: Trzeba mieć go na oku. On chce sobie coś zrobić.

REIZSCHNEIDER: Każdy jest kowalem własnego losu. Pana Wolkowskiego nie było całą noc w pokoju. Widziała go pani?

CARMEN: Nie.

REIZSCHNEIDER: Boże, może wpadł do morza?

CARMEN: Nie umie pływać?

REIZSCHNEIDER: Owszem. Ale pić nie umie.

Wchodzi Specht i Margit.

MARGIT: My na słówko. Chodzi o reklamę.

REIZSCHNEIDER: Tak?

MARGIT: Pan WOLKOWSKI i pan jesteście kochani przez widzów jako para i -

SPECHT: Więc, mam taki pomysł, żeby -

REIZSCHNEIDER: Żeby on wziął w tym udział! Też już o tym myślałem.

SPECHT: Naprawdę? A, to jest dobry znak.

Wymiętolony Wolkowski wyczołguje się z krzaków.

REIZSCHNEIDER: O, to przecież on. Dzień dobry, Wolli.

MARGIT: Dzień dobry.

SPECHT: Dzień dobry.

Wolkowski patrzy w ich kierunku zmrużonymi kaprawymi oczkami i nie odpowiedział na pozdrowienie wycofuje się znowu w krzaki.

MARGIT: To jest nawet warunek, żeby WOLKOWSKI zagrał. Bez WOLKOWSKIEGO nie ma reklamy.

SPECHT: I pieniędzy.

REIZSCHNEIDER: To mu doda animuszu.

MARGIT: Z pewnością.

SPECHT i MARGIT wychodzą, REIZSCHNEIDER spieszy do krzaków.

REIZSCHNEIDER: Wolli? Wolli? WOLKOWSKI wystawia głowę.

Dzień dobry, mój kochany, kochany przyjacielu.

WOLKOWSKI: Dostałeś udaru słonecznego? Gadaj ze mną normalnie!

WOLKOWSKI staje na nogi, zataczając się podchodzi do stolika, chwyta za karafkę z wodą z lodem i wylewa zawartość na głowę.

Miałem sen. Koszmarny sen. Graliśmy tę sztukę ubrani w pieluszki. Sto pięćdziesiąt przedstawień...

REIZSCHNEIDER: Wolli, sen mara...

WOLKOWSKI: Mój dziadek był jasnowidzem. Nie będę grał w tej sztuce! Definitywnie nie!

REIZSCHNEIDER: Musisz!

WOLKOWSKI: Nic nie muszę!

REIZSCHNEIDER: Oni koniecznie chcą, żebyś zagrał w tej reklamie.

WOLKOWSKI: Ja?

REIZSCHNEIDER: Tak. Bez ciebie nie zrobią – a bez reklamy nie będzie tej sztuki! A bez sztuki reklamy. Trzydzieści tysięcy dla ciebie.

WOLKOWSKI: Trzydzieści? Nie. Zdradziłbym samego siebie!

REIZSCHNEIDER: Nie zostawiaj mnie na lodzie! Trzydzieści pięć?

WOLKOWSKI: Nie dam się kupić!

REIZSCHNEIDER: Potrzebuję cię, Wolli!

WOLKOWSKI: Nie! Ja chcę do domu!

REIZSCHNEIDER: A co masz tam do roboty? Czeka ktoś na ciebie?

– No widzisz, Wolli. Obaj mamy tylko siebie. Tak było, tak jest i tak już zostanie.

WOLKOWSKI: To znaczy, że jest ze mną gorzej niż myślałem.

REIZSCHNEIDER: Czterdzieści tysięcy? Wolli, ty już nie masz pracy!

WOLKOWSKI: No dobra. Ale uwierz mi – nigdy bardziej się dla ciebie nie poświęciłem.

REIZSCHNEIDER: Prawdziwy przyjaciel z ciebie.

WOLKOWSKI: I jeszcze jedno, żebyś wiedział: nie robię tego dla pieniędzy.

REIZSCHNEIDER: Rozumiem. Przekażę twoją część na Caritas. Żebyś się lepiej poczuł.

WOLKOWSKI: Porozmawiamy o tym.

Wchodzi MARGIT.

REIZSCHNEIDER: Zagra!

MARGIT: Gratuluję. Witam w grupie.

Ściska dłoń Wolkowskiego. WOLKOWSKI wchodzi do domu.

MARGIT: Dobrze się pan bawił dzisiejszej nocy?

REIZSCHNEIDER: Powiedzmy. Pani siostra chciała mi pokazać swoje ulubione miejsce.

MARGIT: I znalazł pan to miejsce?

REIZSCHNEIDER: W końcu tak.

MARGIT: Taki pan nieporadny?

REIZSCHNEIDER: Niech pani posłucha – nic nie chcę od pani siostry! I szczerze mówiąc działa mi na nerwy.

Pani Specht wchodzi w kostiumie kąpielowym.

PANI SPECHT: *Śpiwnie.* Dzień dobry.

MARGIT: Właśnie rozmawialiśmy o tobie.

PANI SPECHT: Ach, tak?

MARGIT: Tak. Pan Reizschneider zdradził mi, co o tobie myśli.

PANI SPECHT: I?

MARGIT: Sam ci to zaraz powie.

Chce wyjść.

PANI SPECHT: Ach, Margit? Jest woda w basenie?

MARGIT: Nie. Ośle mleko. Specjalnie dla ciebie.

Wchodzi do domu.

PANI SPECHT: Jest zazdrosna.

REIZSCHNEIDER: Coś ty?

PANI SPECHT: Podobasz jej się.

REIZSCHNEIDER: Coś takiego?

PANI SPECHT: Żałuje mi.

REIZSCHNEIDER: Coś takiego? Czego?

PANI SPECHT: Szczęścia z tobą.

Pani Duesseldorf macha z balkonu.

DUESSELDORF: Dzieńdoberek! – Zaraz do was przyjdę!

PANI SPECHT: Jestem troszeczkę na ciebie zła?

REIZSCHNEIDER: Co takiego zrobiłem?

PANI SPECHT: Nic. Właśnie o to chodzi. Ja cię prowadzę do
mojego ulubionego miejsca, a ty zasypiasz.

REIZSCHNEIDER: *Z ulgą w głosie.* Chwała Bogu. – Znaczy chwała
Bogu, że nie popełniłem jakiegoś nietaktu.

PANI SPECHT: A ja tak bardzo bym sobie życzyła, żebyś popełnił
ze mną jakiś maleńki nietakt. Ale wiem, dlaczego tak jest. Masz takie
fascynujące życie. A ja? Ja jestem drugorzędna.

REIZSCHNEIDER: Bardzo panią proszę! Pani jest pierwszorzędna!

PANI SPECHT: Co ja takiego w życiu zrobiłam? Byłam błyskotką
paru facetów. Nudziarze zrobili ze mnie nudziarę.

REIZSCHNEIDER: Wcale nie jesteś nudna. Naprawdę jesteś
interesująca.

PANI SPECHT: Jestem szara!

REIZSCHNEIDER: To nieprawda!

PANI SPECHT: Szara do wyrzygania!

REIZSCHNEIDER: Ale w wielu odcieniach.

PANI SPECHT: Przytul mnie mocno! Chociaż jestem nikim –
chciałabym być kimś dla ciebie. Czy mogę? Wolno mi? – Tak, wolno.
Czy te oczy nie mogą kłamać? Te oczy... tak patrzą, jakbyś chciał
mnie pocałować...

REIZSCHNEIDER: W rzeczy samej?

PANI SPECHT: Z całą pewnością.

REIZSCHNEIDER: Ciagle coś człowieka zaskakuje.

PANI SPECHT: Pocałuj mnie. Króciutko. Proszę!

On się waha.

REIZSCHNEIDER: Przepraszam. Dawno nie całowałem nikogo bez gaży.

PANI SPECHT: Ale przecież dostaniesz gażę.

PANI DUESSELDORF wchodzi w dresie.

DUESSELDORF: Ach, jaki piękny dzień – po pięknej nocy. Dla nas wszystkich, jak sądzę, hm?

REIZSCHNEIDER: Muszę się uczyć tekstu.

PANI SPECHT: Ale potem...

REIZSCHNEIDER: Tak?

PANI SPECHT: Potem znaczy przedtem.

Reizschneider wychodzi. DUESSELDORF robi ćwiczenia rozciągające.

PANI SPECHT: A co to ma być?

DUESSELDORF: Idę na jogging. Wznosi się siła waginy. Dziś w nocy spotkałam złego wilka.

PANI SPECHT: Boll?

DUESSELDORF: Skoro już sama zgadłaś, to tak. Szaleje za mną.

PANI SPECHT: A widzisz.

DUESSELDORF: A ty? Też spotkałaś złego wilka? Czy to prawda, że Reizschneider potrafi grać na kobiecie jak na fortepianie?

PANI SPECHT: Nic na ten temat nie wiem.

DUESSELDORF: Oczywiście, że nie.

PANI SPECHT: Mogę tylko powiedzieć. Jest wirtuozem. I to jest za mało powiedziane...

Obie śmieją się konspiracyjnie. Boll wychodzi z domu.

PANI SPECHT: O, zły wilk... Jak przeszła panu noc, panie BOLL?

DUESSELDORF: Hmmmmmm...

PANI SPECHT: Musiała być cudowna...

BOLL: A jak pani noc, Pani Specht?

PANI SPECHT: *Trochę niżej.* Hmmmmmmm...

DUESSELDORF: Musiała być niebiańska...

Nie zdradź jej niczego, skarbie. *Całuje go.* Na razie, Rüdiger.

Pani Duesseldorf puszcza w ruch swoje kilogramy, biegnie w kierunku plaży.

PANI SPECHT: Do dzisiaj myślałam, że jesteś tylko teoretykiem – a teraz słyszę, że uzdolniony z ciebie praktyk?

BOLL: Wszystko dlatego, że poszłaś z tym całym

REIZSCHNEIDEREM!

PANI SPECHT: Ach, tak się cieszę razem z Lotte. Wybawiłeś ją z samotności.

BOLL: Proszę cię – Ja szaleję za tobą! Za tobą!

PANI SPECHT: Ale Lotte też ma pieniądze.

BOLL: To jest podłe! To jest-

Specht, Reizschneider, Wolkowski i Margit wychodzą z domu.

Pani Specht idzie w kierunku basenu. BOLL wkurzony do domu.

SPECHT: Moja agencja reklamowa przekazała mi zdecydowaną decyzję na tak! Jeszcze nigdy nie byli tak pełni entuzjazmu.

WOLKOWSKI: Jak pan to sobie wyobraża?

SPECHT: Otóż: pan siedzi w plażowym koszu nad morzem. Wiatr targa pańskie włosy. Szum morza.

REIZSCHNEIDER: Bardzo nastrojowo. Kupuję.

MARGIT: Uśmiecha się pan szczęśliwy, lekki i wolny od skurczów i uciążliwości. Kamera powoli zjeżdża pokazując pańskie ciało i zatrzymuje się w połowie.

REIZSCHNEIDER: Dlaczego? Dlaczego w połowie?

MARGIT: Bo tam widzimy, o co chodzi.

WOLKOWSKI: Pieluszkę...?

SPECHT: Zgadza się! Ale, pieluszkę starości. Całkowita nowość. Nadają pan?

Twarz WOLKOWSKIEGO zastyga w tępym grymasie.

REIZSCHNEIDER: I to będzie widać?

SPECHT: To jest reklama pieluszek – trudno, żeby ich nie było widać, co nie?

REIZSCHNEIDER: To może przynajmniej z ręcznikiem na biodrach?

SPECHT: Nie.

REIZSCHNEIDER: Więc, dobrze - nago? Już dawno wielu chciało mnie -

SPECHT: Nie nago. W pieluszkach.

REIZSCHNEIDER: Ale myślę... tego my nie...

SPECHT: Tak?

WOLKOWSKI: Nie możemy –

MARGIT: Nie za sto pięćdziesiąt tysięcy?

REIZSCHNEIDER: Nie możemy odrzucić.

SPECHT: Sto pięćdziesiąt tysięcy?!

MARGIT: Tak powiedziałeś. Transakcja wiązana.

SPECHT: Tak powiedziałem?! To nieprawdopodobne!

REIZSCHNEIDER: Sto pięćdziesiąt tysięcy.

WOLKOWSKI: Tobiasz?

SPECHT: Sto pięćdziesiąt tysięcy... Niesamowita – hojność...

MARGIT: A pan Wolkowski będzie pana karmił. Nową papką dla seniorów .

SPECHT: Naprawdę powiedziałem sto pięćdziesiąt?

MARGIT: Jak amen w pacierzu.

WOLKOWSKI: Tobiasz... mój sen ...

REIZSCHNEIDER: On zawsze o tym marzył. Naprawdę, ogromnie bym się cieszył, gdybyś w to wszedł!

WOLKOWSKI: Wiesz, co to oznacza?

REIZSCHNEIDER: Sto pięćdziesiąt tysięcy.

SPECHT: Pan ma jakieś wątpliwości, panie Wolkowski?

WOLKOWSKI: Głowa mnie boli.

REIZSCHNEIDER: Wolli, proszę?

WOLKOWSKI: Ach, Tobiasz...

REIZSCHNEIDER: Przyjmujemy wyzwanie!

MARGIT: Cudownie!

SPECHT: Sto pięćdziesiąt tysięcy... *BOLL w kąpielówkach wychodzi z domu i drepcze w kierunku basenu.*

MARGIT: A teraz zdjęcia próbne.

WOLKOWSKI: Teraz? Tutaj? Ja?

MARGIT: Tak. Moją kamerą.

SPECHT: Dział marketingu potrzebuje małej próbki.

MARGIT: To przecież nic takiego. Co?

WOLKOWSKI: Teraz to niemożliwe... Boli mnie głowa!

SPECHT: Dział reklamy twardo przy tym obstaje.

WOLKOWSKI: *Z nagłą nadzieją w głosie.* Ale przecież tych pieluszek jeszcze nie ma!

SPECHT: Są. Leżą przygotowane w panów pokoju.

MARGIT: Możecie się panowie przebrać?

Wolkowski wychodzi.

MARGIT: I proszę nie zapominać – bez pana przyjaciela nie ma reklamy – a bez reklamy przedstawienia.

SPECHT: No i pieniędzy.

MARGIT: Na razie.

Reizschneider wchodzi do domu.

SPECHT: Żarty się skończyły! Oni to zrobią! Zrobią to!

Teraz będę musiał nakręcić to gówno i dać im sto pięćdziesiąt tysięcy euro! I ten rebus też trzeba będzie wystawić! Jak mogłaś im sto pięćdziesiąt tysięcy obiecać? Moja skóra składa się wprawdzie z samych modzeli, ale jeśli chodzi o finanse, to jestem mało odporny na presję!

MARGIT: Uspokój się. Jeszcze mam coś w zanadrzu. Tym możemy jednym ruchem rozwiązać wszystkie twoje problemy. Ale istnieje poważne niebezpieczeństwo, że stracisz Lydię.

SPECHT: Dlaczego od razu tego nie zaproponowałaś?

MARGIT: Przecież chcieliśmy mieć trochę zabawy? Boll tu idzie. Chodźmy. Wszystko ci wytłumaczę.

Specht i Margit wchodzą do domu. Mokry i wściekły Boll wychodzi zza rogu, staje przed stolikiem z ciastem.

BOLL: Nie dam się tak traktować!

Zwija widelczyk. Wolkowski wybiega na balkon. Reizschneider z flaszką w ręce za nim.

REIZSCHNEIDER: Przebierz się, natychmiast!

WOLKOWSKI: Nie!

REIZSCHNEIDER: Tak to zrobimy, że będzie cię tylko widać z tyłu. Nikt cię nie pozna!

WOLKOWSKI: Ja jestem rozpoznawalny z tyłu.

REIZSCHNEIDER: Chodź już!

WOLKOWSKI: Każdy mnie z tyłu rozpozna!

REIZSCHNEIDER: Coś takiego.

WOLKOWSKI: Ile razy na ulicy stukają mnie w ramię:

O, panie Wolkowski – czy mogę prosić o autograf?

REIZSCHNEIDER: Czegóż takiego z tobą nie przeżyłem.

WOLKOWSKI: Są rzeczy, które robię samodzielnie!

REIZSCHNEIDER: Więc dobrze, jesteś rozpoznawalny z tyłu.

WOLKOWSKI: Nikt! Nikt po czymś takim niczego nam już nie proponuje! To jest nasz koniec!

REIZSCHNEIDER: Jeżeli się wycofasz, to będzie koniec!

WOLKOWSKI: Lepszy koniec z honorem – niż taki koniec!

REIZSCHNEIDER: O.K. Jesteś lepszym człowiekiem ode mnie. Ale teraz wskakuj w pieluszki!

WOLKOWSKI: Nigdy!

Obaj wracają do pokoju.

BOLL: Perwersyjne.

DUESSELDORF na skraju fizycznej wytrzymałości zjawia się za jego plecami.

DUESSELDORF: Rüdiger...

On szybkim ruchem wkłada sobie widelczyk w kąpielówki, natrafia przy tym na wrażliwe części ciała i stęka z bólu. DUESSELDORF mocno do niego przylgnęła.

DUESSELDORF: Rüdiger... Muszę z tobą porozmawiać. Co ja dzisiaj w nocy zrobiłam nie tak?

BOLL: Nie...

DUESSELDORF: W takim razie, dlaczego nie mogłeś?

BOLL: Zostaw mnie – proszę?!

Wiesz się na nim.

DUESSELDORF: Co ja nie tak zrobiłam? Powiedz mi, proszę?

Pani Specht wychodzi z za rogu.

PANI SPECHT: Cóż za namiętność!

Pani Specht znika w domu. BOLL odpycha DUESSELDORF.

BOLL: Daj mi pani spokój!

DUESSELDORF: Rüdiger...?

BOLL: To jest nieporozumienie!

DUESSELDORF: To, że mnie wzięłeś na plażę, to było nieporozumienie?

BOLL: Nic od pani nie chcę!

DUESSELDORF: Co źle zrobiłam? – Powiedz mi?! Co ja zrobiłam źle!?

BOLL: Niech mnie pani nie dotyka! Zaraz zwariuję!

Potrząsa nią i wybiega do domu.

DUESSELDORF: Dlaczego mi to robisz...? *WOLKOWSKI w pieluszcze wchodzi ostrożnie do ogrodu, krok po kroku posuwa się coraz dalej i nagle przystaje przed leżącą na ziemi panią*

DUESSELDORF. O, Boże. WOLKOWSKI ucieka w krzaki.

REIZSCHNEIDER – również w pieluszcze zdobył się na to, aby zejść do ogrodu.

REIZSCHNEIDER: Wszystko w porządku?

DUESSELDORF: Wszystko - jak zawsze!

Płacząc wlecze się do domu.

REIZSCHNEIDER: Ingo? Gdzie ty jesteś? – Ingo? *Wolkowski wysuwa głowę z krzaków. Wyłaź stamtąd!*

WOLKOWSKI: *Wychylając się ostrożnie. Zaraz przyjdą.*
I będą nas oglądać.

REIZSCHNEIDER: To jest wpisane w nasz zawód.

WOLKOWSKI: Grałeś Hamleta, Ryszarda Trzeciego, Tasso, Kupca Weneckiego, Galileusza... a teraz stoisz przede mną w pieluchach...

REIZSCHNEIDER: Przestań!

WOLKOWSKI: To jest przyznanie się do bankructwa!

REIZSCHNEIDER: Jestem bankrutem!

WOLKOWSKI: Ale moralnym bankrutem jeszcze nie byłeś!

MARGIT i Specht pojawiają się na tarasie.

SPECHT: Nikt w to nie uwierzy. Jestem za dobry w biznesie.

MARGIT: Dlatego sfingujemy fakty. Pojawi się tu komornik. Jestem pewna, że pan Wolkowski nam pomoże. Ach, Panie Reizschneider, może coś uwiera?

REIZSCHNEIDER: Nie. Pasują jak ulał.

Margit znosi swój fotel „na plażę”.

MARGIT: Więc zaczynamy. Kręcimy tutaj na leżaku. Proszę pana, proszę! Proszę się położyć... Właśnie tak... Rozluźnić się... Hm?

Panie Wolkowski, pan wejdzie z tyłu ze złotą tacą, na której znajduje się papka SENIORMAC, serwuje pan papkę, otwiera słoiczek i karmi pańskiego kolegę. Potem Pan Reizschneider pełny wdzięczności spogląda na pana, obaj chwytacie się za rączki, patrzycie przed siebie w kamerę i pan Wolkowski mówi: „PIELUSZKI PROSENIOR w każdym wieku, komfort dadzą ci człowieku!” Na co pan Reizschneider odpowiada: „A SENIORMAC dla podniebienia w radosne dziecko cię zamienia.”

WOLKOWSKI: To się rymuje...?

SPECHT: To ja wymyśliłem. Fajnie, nie?

MARGIT: A na koniec powiecie chórem: „To pyszne, co do buzi wpadnie, będzie na dole złapane ładnie”.

Cisza.

SPECHT: No, co o tym myślicie?

REIZSCHNEIDER: Przyjmujemy wyzwanie.

MARGIT: Bardzo dobrze. – To, proszę powtórzyć tekst!

WOLKOWSKI: *Apatycznie.* Pieluszki Prosenior w każdym wieku, komfort dadzą ci człowieku.

REIZSCHNEIDER: A seniormac dla podniebienia w radosne dziecko cię zamienia.

OBAJ CHÓREM: To pyszne, co do buzi wpadnie, będzie na dole złapane ładnie.

MARGIT: Jesteście w stanie to zapamiętać?

WOLKOWSKI: Nigdy tego nie zapomnimy.

Wolkowski dostaje nerwowego ataku śmiechu.

REIZSCHNEIDER: Spokój! *Wolkowski milknie.* Przepraszam, Wollli.

MARGIT: To zaczynamy. Pan Wolkowski proszę na pozycję.

Wolkowski nie rusza się. Bezmyślnie skubie jakiś kwiatek.

MARGIT: Źle się pan czuje?

Reizschneider podchodzi do niego, prowadzi go na pozycję.

Kładzie się na leżaku.

MARGIT: Kamera poszła! Pan Wolkowski – proszę!

Wolkowski idzie z tacą w kierunku leżaka – Carmen wchodzi z tacą na taras, staje z rozdziawioną buzią. Wolkowski skręca w krzaki.

SPECHT: Ach, Carmen? Zdziwiłaś się, co? Próbne zdjęcia.

Dziękujemy ci. Wyjdź, proszę.

Carmen wycofuje się.

MARGIT: Panie Wolkowski? Niechże pan wyjdzie.

Cisza.

SPECHT: No cóż, nic z tego nie będzie. Więc cały projekt nie dojdzie do skutku.

REIZSCHNEIDER: Chwileczkę! Proszę zaczekać.

SPECHT: Ale pański kolega nie chce!

REIZSCHNEIDER: Chce! Oczywiście, że chce! – *Rozkazującym tonem.* Wyłaż stamtąd! Natychmiast.

Wolkowski postusznie wychodzi.

WOLKOWSKI: Nigdy się z tego nie podniesiemy... Nigdy...

REIZSCHNEIDER: Już! Na pozycję! Tu! *Wolkowski postusznie wykonuje polecenie.*

MARGIT: Kamera poszła! Proszę.

Wolkowski z tacą, za jego plecami pojawia się PANI SPECHT. Staje jak wryta.. Zaraz za nią pojawiają się BOLL i FLAPKE.

WOLKOWSKI otwiera słoiczek i drżącą ręką karmi Reizschneidera. Potem obaj patrzą w kamerę.

WOLKOWSKI: Pieluszki Prosenior w każdym wieku, komfort dadzą ci człowieku.

REIZSCHNEIDER: A seniormac dla podniebienia w radosne dziecko cię zamienia.

OBAJ CHÓREM: To pyszne, co do buzi wpadnie, będzie na dole złapane ładnie.

Cisza. Reizschneider z Wolkowskim stoją trzymając się za ręce.

SPECHT: Moja nowa reklama. Co o niej sądzicie?

PANI SPECHT: Nie...

FLAPKE: To jest - to jest absolutnie najbardziej ekstremalna – najbardziej szokująca scena jaką w życiu widziałem!

PANI SPECHT: Potworne!

BOLL: Don Juan w pieluszkach!

SPECHT: Dzieci, jestem szczęśliwy. To będzie wielki sukces!

Carmen wychyla się z tarasu.

PANI SPECHT: Gerhard!?

CARMEN: Proszę pana, telefon!

Specht spieszy do domu.

BOLL: *Niepowstrzymany wybuch śmiechu i najwyższego zdziwienia.*

To jest rola życia, panie Reizschneider! To pyszne, co do buzi wpadnie-

FLAPKE: Będzie na dole złapane ładnie!

BOLL: Teraz wielki aktor pokazał nam na co go stać.

Wolkowski ucieka.

REIZSCHNEIDER: Wolli?!

PANI SPECHT: Panie Reizschneider...

REIZSCHNEIDER: Wolli, tak mi przykro!

BOLL: Widzisz, Lydia – ten mężczyzna ma klasę.

MARGIT: Jest w encyklopedii.

PANI SPECHT: Ty bestio!

MARGIT: Dlaczego? Dostaje za to pieniądze.

SPECHT wychodzi z domu, teatralnie zatacza się i opiera się o barierkę, stęka.

PANI SPECHT: Gerhard? *Gerhard jęczy.* Co się stało? *Jęczy.*

Powiedz coś?

SPECHT: Nie mam nic więcej do powiedzenia.

PANI SPECHT: Co ci jest?

SPECHT: Nic ... nic nie mam. Zbankrutowałem...

V AKT

Nieco później. PANI DUESSELDORF siedzi na tarasie pochłonięta mechanicznym jedzeniem kielbasy. Obok niej dwie duże walizki.

PANI SPECHT na fotelu ogrodowym zatopiona z cierpieniu.

PANI SPECHT: Plajta...

DUESSELDORF: Boga już nie ma. Może nie będzie aż tak źle?

PANI SPECHT: Zwolnił Carmen. Nie ma jej z czego płacić.

Nie wiem czy będę mogła dalej z nim być...

DUESSELDORF: Ty chcesz...? W tej sytuacji?

PANI SPECHT: Zbankrutować – czegoś takiego się nie robi!

DUESSELDORF: Odłożyłaś chociaż trochę? Dla siebie?

Pani Specht szlochając potrząsa głową. To okropne.

PANI SPECHT: Tak to jest, jak się komuś ufa!

DUESSELDORF: Spokojnie. Najpierw możesz zamieszkać u mnie.

PANI SPECHT: Dzięki. Dzięki!

DUESSELDORF: Po co ma się przyjaciółkę?

Boll wychodzi z walizką na taras. PANI SPECHT płacząc wbiega do domu.

BOLL: Lotte?

DUESSELDORF: Zostaw mnie.

BOLL: Musimy porozmawiać.

DUESSELDORF: Nie musimy.

Chce odejść.

BOLL: Proszę, wysłuchaj mnie.

DUESSELDORF: Dobrze. Jedz i mów. Posłucham cię tak długo, jak długo będziesz jadł tę kielbasę.

On bierze talerz do ręki i w czasie, kiedy mówi przeżuwa ze wstrętem kielbasę.

BOLL: Byłem taki szorstki dla ciebie bo –

DUESSELDORF: Odgryź kawałek.

BOLL: Bo zostałem-

DUESSELDORF: Przeżuwaj.

BOLL: Przyparty do muru! Przez – wszystko jedno! Przez kogoś tam.

DUESSELDORF: Połknij.

BOLL: W każdym razie ten ktoś nie mógł znieść, że mi się podobasz... Ten ktoś udzielił mi małej pożyczki...

DUESSELDORF: No nie...? I ten ktoś cię szantażował?

BOLL: Wstyd mi.

Wypluwa.

DUESSELDORF: Nie mogę w to uwierzyć...

BOLL: Może lepiej, jeśli w to nie uwierzysz. Nie mam zamiaru rozbijać waszej przyjaźni.

DUESSELDORF: Ta źmija... Poczekaj no ty!

BOLL: Ale, proszę cię, żadnych skandali. Przymknij, że będziesz milczała! Opowiedziałem ci to, tylko dlatego, bo nie chcę, żebyś po naszym rozstaniu wyrobiła sobie o mnie fałszywe zdanie. Adieu!

Bierze swoją walizkę.

DUESSELDORF: Co ty teraz zamierzasz?

BOLL: Powrócić w pańszczyznę gazetowej pisaniny. Trzymaj się.

DUESSELDORF: A twoja książka?

BOLL: Muszę to odłożyć, bo inaczej nic z tego nie będzie.

Wszystkiego dobrego.

DUESSELDORF: Rüdiger? Mam letni dom w Hiszpanii!

BOLL: Fajnie masz.

DUESSELDORF: A może ty też mógłbyś mieć fajnie? Pomyślałam...

BOLL: Chcesz przez to powiedzieć, że mógłbym – tam?

DUESSELDORF: Tak. Tam miałbyś spokój.

BOLL: Spokój! Spokój! Nareszcie spokój! Lotte - to jest ...

- A wieczorem mógłbym pracować jako kelner!

DUESSELDORF: To nie będzie konieczne.

BOLL: Lotte – Aż oniemiałem. Jesteś dobra. Jesteś wielka. Ale ja nie wiem... czy mogę?

DUESSELDORF: Musisz! Pomyśl o twojej książce!

BOLL: No dobrze. Ale tylko, jak będziesz mnie co jakiś czas odwiedzać.

DUESSELDORF: Będę u twego boku.

BOLL: Ach? Więc ty też tam będziesz?

DUESSELDORF: Naturalnie.

BOLL: Cały czas?

DUESSELDORF: To przecież oczywiste.

BOLL: To - To nic mi już nie brakuje do szczęścia! *Wchodzi Reizschneider, za nim Margit.* Ach, nasz pan Pieluszkowski.

REIZSCHNEIDER: Zejdź mi z drogi – mucho na moim gnoju.

Bierze swoją walizkę i schodzi w kierunku plaży.

BOLL: Pan jest skończony, REIZSCHNEIDER! Skończony!

DUESSELDORF: Rüdiger?

Specht wlecze się na taras, za nim żona z walizką.

PANI SPECHT: Żeby zastawić cały majątek? Jak można być tak głupim!?

SPECHT: Zwlekałem z ogłoszeniem upadłości. Myślałem, że mnie opuścisz, jak już nie będę miał firmy.

PANI SPECHT: Jak mogłeś mi to zrobić?

SPECHT: Miłość czyni ślepym.

PANI SPECHT: Ja umieram...

SPECHT: *Podrywa się.* Nie! Ja umieram! Wjadę w drzewo!

Boll zatrzymuje go.

BOLL: Niech pan nie robi głupstw. To tylko pieniądze!

SPECHT: Tylko pieniądze?! Byłem lubiany, bo miałem pieniądze!

BOLL: To nieprawda! Pańska żona kocha pana i bez pieniędzy.

Prawda, Lydia? *Pani Specht tylko stęka.* W każdym razie, zawsze znajdą się ludzie, którzy panu pomogą!

SPECHT: Myśli pan?

BOLL: Z całą pewnością.

SPECHT: Pożyczył by mi pan trochę pieniędzy?

PANI SPECHT: O, Boże...

BOLL: W tej chwili nie mogę temu podołać...

SPECHT: Dziękuję. Wyczuwam w panu dobrą wolę. Kiedyś znowu się do pana zgłoszę.

Specht rzuca się zrozpaczony na hollywoodzką huśtawkę. Flapke wpada na taras.

PANI SPECHT: *Do Margit.* Ciagle jeszcze tu jesteś?

MARGIT: Czekam na taksówkę.

Flapke spieszy do Pani Specht.

FLAPKE: Proszę pani, sytuacja się zmieniła – ale może mogłaby pani...? Myślę sobie – Teatr Kameralny czeka –

PANI SPECHT: Proszę!?! Mam teraz inne zmartwienia! Prawdziwe zmartwienia! Plajta! To jest życie! A nie ta ramota!

FLAPKE: Ramota... Więc pani tak myśli? – Pan też tak myśli, panie Boll?

BOLL: Więc... pan jest bardziej typem artysty klasycznego.

W przeciwieństwie do typu romantycznego, klasyk bardzo późno osiąga szczyt swoich możliwości i powinien pan–

FLAPKE: Niech pan przestanie bredzić!

BOLL: Nie?

FLAPKE: Więc?

BOLL: Więc – niech pan da sobie spokój z pisaniem.

FLAPKE: Acha. – Wszyscy tu tak myślą?

Ogólne przytaknięcie. To, do czego ja wam byłem potrzebny...?

Flapke opada na trawę.

MARGIT: *Do siostry. Szampana?*

PANI SPECHT: Daj mi spokój!

SPECHT: Więc, ja chętnie wypiję kieliszek. Kto wie, kiedy znowu dostanę szampana?

BOLL: Cóż za tragedia...

MARGIT: Nie. Komedia. On – i plajta? On tylko tak udaje.

SPECHT: Margit, koniec z żartami! Dlaczego niby miałbym kłamać?

MARGIT: To jasne jak słońce. Też, że się nie domyślacie? Dobry wujek nie chce wyrzucać pieniędzy na to Flapkowskie gówienko.

Flapke, opada na plecy, zamyka oczy.

PANI SPECHT: Gerhard, czy to prawda?

SPECHT: Lydio, czy jesteś ze mną?

PANI SPECHT: Więc Margit ma rację? Wszystko wymyśliłeś, tak?

SPECHT: Jesteś więc po mojej stronie?

PANI SPECHT: A gdzie niby miałabym być?!

SPECHT: Jak to dobrze robi. To największe szczęście, jakie można człowieka spotkać.

PANI SPECHT: Wszystko udawane!

BOLL: Stary lis... Nie wiem, co mam powiedzieć?

PANI SPECHT: Gerhard!? Tak mnie wystraszyć! To nieludzkie!

Przecież o mało nie umarłam! Ale spryციulek!

SPECHT: Lidio, przykro mi – ale -

PANI SPECHT: Nie musisz przeproszać! Dobrze zrobiłeś.

Ten młokos by nas skompromitował! Carmen?!

Flapke jednym ruchem podnosi się i zdecydowanym krokiem wchodzi do środka, omijając Carmen, która właśnie pojawiła się na tarasie.

PANI SPECHT: Trzeba to uczcić! Szampan! Dla wszystkich! – Co jest? Ruszaj się!

CARMEN: Zostałam zwolniona.

PANI SPECHT: Jesteś znowu zatrudniona. Nie zbankrutowaliśmy. Mój mąż nam spłatał figla. *Carmen wchodzi do domu.* – Boże, a ja w to uwierzyłam!

Wolkowski przebrany za staruszkę wyłania się zza rogu.

WOLKOWSKI: *Mamrocze ze spuszczonego wzrokiem.*

Dzień dobry państwu. Czy znajduję się w posiadłości pana Specht?

SPECHT: Tak tu mieszkali Spechty.

PANI SPECHT: Mieszkali?

WOLKOWSKI: Moje nazwisko Schleuder. Hubert Schleuder.

Spółka Likwidacyjno – Licytacyjna z.o.o. Dostałem zlecenie sporządzenia listy wyceny całego ruchomego i nieruchomego majątku prywatnego.

PANI SPECHT: Niczego nie sprzedajemy.

WOLKOWSKI: Oto zarządzenie komornika, pana Plattmanna.

Wolkowski podsuwa Spechtowi papier pod nos.

SPECHT: Zgadza się.

PANI SPECHT: Gerhard...? Więc naprawdę splajtowałeś?

SPECHT: Nigdy nie powiedziałem, że jest inaczej.

Wolkowski zaczyna przyklejać na przedmiotach wokół czerwone okrągłe naklejki.

PANI SPECHT: Co pan robi?

LICYTAROR: Zaznaczam obiekty przeznaczone na licytację. Proszę zejść z drogi.

PANI SPECHT: Bezczelny typek! My mamy gości?!

LICYTAROR: Szanowna pani, normalnie jestem uosobieniem

szacunku. Ale, że pani mąż nie reagował ani na pisma, ani na

zawiadomienia telefoniczne, zostałem zmuszony

do zdecydowanego działania. *Pani Specht chce wejść do domu.*

Nie, proszę nie wchodzić do domu. Uprasza się o nie wchodzenie do

wnętrza domu zanim wszystkiego nie opieczętuję i nie sporządzę

mojej listy. *Carmen wchodzi z szampanem, podaje każdemu kieliszek, nalewa. Specht potakuje, udaje, że walczy, żeby się nie rozplakać.*

WOLKOWSKI: Naszyjnik, proszę.

PANI SPECHT: Nie. - Gerhard?

WOLKOWSKI: Naszyjnik.

PANI SPECHT: Zrób coś!

SPECHT: Rób, co mówi pan Schleuder.

WOLKOWSKI: Chcę go tylko oszacować.

PANI SPECHT: Ale on jest mój! Mamy rozdzielność majątkową!
 WOLKOWSKI: Jeśli to prawda, zostanie skreślony z listy. Więc?
*Oddaje mu naszyjnik, on przykleja czerwony punkcik. Pierścionki też.
 Zdejmuje pierścionki. On przykleja naklejki. Obrączkę może pani
 zachować. Nic nie warta. – A! – Proszę pokazać buty.*

PANI SPECHT: Buty? Są nowe!

WOLKOWSKI: Właśnie. Włoskie. Zdjąć buty.

PANI SPECHT: Jest pan przy zdrowych zmysłach?

MARGIT: Niech pan nie przesadza!

LICYTAROR: Obowiązek smakuje czasem jak szaleństwo. Buty.

SPECHT: Proszę. Tu ma pan moje. *Zdejmuje buty. A tu portfel. –
 Klucz od drzwi wejściowych od domu – klucz od sejfu – i jeszcze
 kluczyk do mojego Jaguara. Proszę.*

PANI SPECHT: Nie mogę tego pojąć... *Wolkowski wszystko notuje,
 oddaje przedmioty, przykleja na butach Pani Specht czerwone
 naklejki. Carmen nalewa Pani Specht szampana. Jesteś przy
 zdrowych zmysłach?!*

CARMEN: Ale-

PANI SPECHT: Jesteś zwolniona!

CARMEN: Więc – Definitywnie? Tak?

PANI SPECHT: Raz na zawsze!

Carmen wyjmuje jej z ręki kieliszek, siada i pije.

WOLKOWSKI: Pójdę oplombować w środku.

SPECHT: Acha, w sypialni pod dywanem jest pięć tysięcy euro. Moja
 żelazna rezerwa. Dobrze, że o tym pomyślałem.

WOLKOWSKI: Wzorowo. Więcej takich klientów bym sobie życzył.
Wolkowski wchodzi do domu.

SPECHT: Jak mi się nagle lekko zrobiło... *Huśta się. Lek - ko - ko -
 łys - ko - wo.*

PANI SPECHT: On postradał zmysły!

SPECHT: Ale za to, odnalazł miłość! Do dziś myślałem, że to
 pieniądze cię ze mną łączą – ale teraz wiem, że to miłość. Bo nawet
 teraz zostajesz ze mną – z biednym człowiekiem.

MARGIT: Musicie teraz ciężko pracować.

PANI SPECHT: Może iść sprzątać – tak?

SPECHT: Kochanie, zrobiłabyś to dla mnie?

DUESSELDORF: Tak, kochanie, zrobiłabyś to dla niego?

SPECHT: Ciężko pracować. Tak, to jest to. A za dziesięć lat znowu będziemy górą!

PANI SPECHT: Będę miała pięćdziesiąt sześć lat!

SPECHT: A ja dopiero siedemdziesiąt cztery!

PANI SPECHT: Boże – widelce! *Rzuca się do stoliczka.* Widelce! Nie widział ich! *Ładuje widelce do bluzki.* Raz – dwa- trzy- cztery – pięć – sześć . Sześć? Tylko sześć? Jest tylko sześć!?? Sześć? *Chodzi wokół stołu na czworakach.* – Widelczyki zginęły! Tylko sześć! A było dziesięć!! Gdzie one mogą być?! Gdzie są pozostałe? A! Wiem, kto je ma! Wiem!

Podchodzi do Carmen, która siedzi za BOLLEM.

BOLL: Żadnych pochopnych podejrzeń!

PANI SPECHT: Tak podejrzewałam!

BOLL: Podejrzewania – to tylko podejrzewania.

PANI SPECHT: Carmen!? Dawaj widelce!

BOLL: Ach, Carmen? Uważasz – Carmen je ...?

CARMEN: To już idzie zbyt daleko.

SPECHT: Kochanie, daj spokój.

PANI SPECHT: Daj spokój!? Ty sobie spokojnie patrzysz jak nas tu ograbiają!?

CARMEN: Ale nie ja!

PANI SPECHT: *Atakuje Carmen.* Widelce? Gdzie są moje widelce?! *Wolkowski wraca.*

WOLKOWSKI: Co się tu dzieje?

CARMEN: Zostałam posądzona-

PANI SPECHT: Carmen! Milcz!

WOLKOWSKI: O czym ma pani milczeć? *Cisza.* I tak to ustalę. *Wolkowski staje przed stolikiem z ciastem.*

Ciasto... Do ciasta potrzebne są widelczyki... Dla tej ilości osób gdzieś tak dziesięć. W tym, bogatym niegdyś gospodarstwie domowym z pewnością były złote widelczyki. I nie jakieś tam, tylko antyki. Dopasowane do stylu, w jakim urządzone jest dom - Biedermeier. Tu brakuje dziesięciu złotych biedermeierowskich widelczyków.

SPECHT: Profesjonalista.

WOLKOWSKI: Gdzie one są? – Dawać je tu!

Pani Specht wyjmuję widelczyki z za pazuchy.

WOLKOWSKI: Jest tylko sześć. Gdzie reszta?

PANI SPECHT: Nie mam pojęcia!

WOLKOWSKI: Rozbierać się!

BOLL: Pan się posuwa za daleko!

WOLKOWSKI: Za daleko się posuwam? Nawet pani nie wie jak daleko mogę się posunąć! Jak zechcę, to wszyscy tutaj się porozbierają!

BOLL: Niech się pan tak nie nadyma!

MARGIT: A pan już tu chyba skończył robotę.

WOLKOWSKI: Ach tak? W takim razie... rzeczywiście skończyłem?
Słychać klakson.

BOLL: Ach, taksówka. Chodź, Lotte.

DUESSELDORF, Pani Specht i Boll biorą swoje walizki.

SPECHT: Lydio? Chcesz wyjechać?

PANI SPECHT: Muszę teraz zostać sama.

SPECHT: Chcesz może rozwodu?

PANI SPECHT: Muszę się zastanowić.

SPECHT: Więc chcesz rozwodu?

PANI SPECHT: Proszę, zostaw mnie. Idziemy.

DUESSELDORF: Lydio, ja już nie mam wolnego pokoju.

PANI SPECHT: Co...?

DUESSELDORF: Poszukaj sobie innej ofiary.

PANI SPECHT: Lotte? Dlaczego?

DUESSELDORF: Myślisz, że chce sobie zmiję na piersi hodować? –

PANI SPECHT: Acha... Chwileczkę! Nie wiem, co ci ten śliski typek naopowiadał – ale on kłamie!

DUESSELDORF: Nie. Ty kłamiesz. Najpierw go rwałaś! A potem zdecydował się na mnie. Nie mogłaś tego znieść – i zaczęłaś go szantażować! Boże, ty jednak jesteś kurewka!

PANI SPECHT: To on się do mnie dowalał!

BOLL: Żałosne.

SPECHT: To ty z nim spałaś? Z tym?

PANI SPECHT: On chciał – ale nie mógł.

BOLL: Nigdy od niej niczego nie chciałem!

PANI SPECHT: Owszem. A przede wszystkim moich pieniędzy chciałeś! A teraz szczur ucieka z tonącego okrętu!

No to siup, panie Boll. Rzucaj się pan na to sadło!

DUESSELDORF: Ty ...ośmiornico!

Rzuca się Panią Specht.

BOLL: Lotte? - Lydia!?

Boll chce je rozdzielić, ale dostaje się w tumult. Na koniec obie kobiety, potargane, siedzą płacząc na trawie. Wolkowski sprawdza ciężar walizki Bolla. Cisza.

SPECHT: Dobrze, że nikt nas nie widzi. Stary już jestem - ale życia nie znam.

BOLL: Chodź, Lotte. Tu nie jest nasze miejsce. – Adieu, panie Pamperski. I niech pan pozdrowi kolegę, takiego samego szmirusa jak pan. *Do Wolkowskiego*. Proszę dać mi walizkę.

WOLKOWSKI: Szmirusa? Czyżbym wysłuchał krytyki Wolkowskiego?

BOLL: Pan go zna?

WOLKOWSKI: A któż go nie zna?! I powiem panu: Genialny Wolkowski, ten aktor! Znaczy – genialny aktor ten Wolkowski.

BOLL: Walizka! Proszę!

WOLKOWSKI: Widelczyki są w środku.

BOLL: Jest pan przy zdrowych zmysłach?

WOLKOWSKI: Z całą pewnością tutaj w środku. Proszę otworzyć walizkę.

BOLL: Nie zrobię tego!

DUESSELDORF: No, pozwól. Masz coś do ukrycia?

BOLL: Naturalnie, że nie.

DUESSELDORF: To niech sobie zajrzy. Jak tak koniecznie chce. *Wyrywa walizkę Wolkowskiemu i otwiera. A widzi pan, tu są tylko – cztery złote widelczyki... Rüdiger...?*

BOLL: To była obrona konieczna. – Czysta obrona własna.

PANI SPECHT: Widzisz Lotte, on cię potrzebuje. Nie może bez ciebie żyć. Ale nie uważaj na swoje sztucce!

DUESSELDORF: *Do Bolla*. Ty biedne kielbasiatko...

BOLL: Lotte, to jest –

DUESSELDORF: *Z widelcem w ręku*. Spadaj stąd zanim cię zadżgam.

BOLL: Czym są cztery widelce w porównaniu z jedną książką?! *Ucieka*.

DUESSELDORF: *Ogląda swoją sukienkę. Muszę się przebrać. Bierze walizkę i wchodzi do domu. Pani Specht podnosi się z trawnika, chwyta walizkę.*

SPECHT: Wszystkiego najlepszego. Zawsze za tobą tęskniłem.

PANI SPECHT: A jak tu byłam?

SPECHT: To nie tęskniłem.

PANI SPECHT: Panie Reizschneider, przykro mi. Również z powodu pańskiego przyjaciela.

REIZSCHNEIDER: To jedyny człowiek, którego mi tu żal.

Zdradziłem go. I co on ma teraz robić?

PANI SPECHT: Niech pan nie robi sobie wyrzutów. Wystarczająco długo ciągnął pan za uszy.

WOLKOWSKI: Na co pani sobie pozwala?

PANI SPECHT: Dlaczego się pan wtrąca? Wolkowski to niedobry aktor.

WOLKOWSKI: Co za bezczelność!

PANI SPECHT: Uważam, że tylko robi miny. *Do Spechta.*

Zdzwonimy się.

WOLKOWSKI: *Woła do Reizschneider.* Dlaczego nie staje pan w obronie kolegi?!

REIZSCHNEIDER: Daj mi pan spokój.

WOLKOWSKI: Tak samo pan myśli o pańskim partnerze?! Niech pan odpowie!

REIZSCHNEIDER: Nie mówię źle o moich kolegach.

WOLKOWSKI: Tchórz! Wiem, co pan myśli! Myśli pan: o jaki niedobry aktor, ale ja go przecież lubię –

REIZSCHNEIDER: Nie tylko go lubię – ja go kocham!

WOLKOWSKI: Chociaż robi takie okropne miny?

REIZSCHNEIDER: Co to pana obchodzi?

WOLKOWSKI: Obchodzi mnie. Nawet bardzo! *Wolkowski zdejmuje kostium.* Teraz przynajmniej wiem, co o mnie myślisz.

REIZSCHNEIDER: Wolli...? Ty...?

WOLKOWSKI: Judasz!

Wolkowski wychodzi do domu.

REIZSCHNEIDER: Jeszcze tego brakowało.

PANI SPECHT: Gerhard? Co to ma znaczyć?

SPECHT: To tylko mały żarcik, który z Margit wymyśliliśmy, żeby pozbyć się twoich przyjaciół. Pan Wolkowski był tak miły i zgodził się nam pomóc. No bo wiesz - pilnie potrzebuję urlopu.

PANI SPECHT: Więc jednak nie splajtowałeś?

SPECHT: Ale bilans kwartalny jest naprawdę mizerny.

REIZSCHNEIDER: A reklama pieluszek?

SPECHT: Nigdy nie miała zostać nakręcona.

PANI SPECHT: Więc wszystko wymyślone...? *Siada zdruzgotana, patrzy przed siebie.* Gerhard, mogłabym teraz być na ciebie zła.

SPECHT: Nie ma takiej potrzeby.

PANI SPECHT: Gerhard... Ja-

SPECHT: Już dobrze. Już ci wybaczyłem.

PANI SPECHT: Ja ci też wybaczam.

SPECHT: To pięknie.

PANI SPECHT: To znaczy, że jest wszystko w porządku, tak?

SPECHT: Wszystko w porządku. Bardzo człowieka wzbogaca, jeśli na krótki czas jest biedny.

PANI SPECHT: Mój kochany, mój kochany mąż!
Samochód trąbi.

SPECHT: Kochanie, twoja taksówka.

PANI SPECHT: Po co?

SPECHT: Przecież chciałaś wyjechać?

PANI SPECHT: Co?

SPECHT: Przecież się ze mną rozstałaś?

PANI SPECHT: Głupia paniczna reakcja. To było za dużo jak na moją głowę.

SPECHT: Więc chciałabyś zostać?

PANI SPECHT: Tak.

SPECHT: Bo mnie kochasz.

PANI SPECHT: Tak.

SPECHT: Nie. Nie musisz udawać kogoś innego niż jesteś. Nie chcę cię więcej zdręczać.

PANI SPECHT: Ale -

SPECHT: Żadnych kłamstw.

PANI SPECHT: Gerard-

SPECHT: Musisz już iść. Natychmiast.

PANI SPECHT: Co ja mam teraz robić?

SPECHT: A tak, ten nasz kontrakt małżeński. To jest twój problem. Porozmawiamy o wszystkim. Za rok, dwa. Przez telefon.

PANI SPECHT: I co ja mam teraz zrobić?!

MARGIT: Zadzieraj spódniczkę przed innymi - dopóki będą chcieli jeszcze na to patrzeć.

PANI SPECHT: Dlaczego ty mnie tak nienawidzisz?

MARGIT: Jesteś taka sama jak twoja matka. Napadłyście nas jak szarańcza. I jak już nie było co zjeść – przeniosłyście się gdzie indziej.

PANI SPECHT: Twój ojciec był fajtłapą.

MARGIT: Łatwowiernym marzycielem. Z miękkim sercem. Dla was za miękkim.

PANI SPECHT: Ten kto marzy, już jest na przegranej.

MARGIT: Tak, to prawda.

Pani Specht wpycha widelczyki do swojej walizki i odchodzi.

Wolkowski wychodzi z domu z walizką.

REIZSCHNEIDER: Wolli! Wolli – proszę cię?! Jak ty żeś zagrał tego komornika – pierwsza klasa! Jesteś wspaniałym aktorem.

WOLKOWSKI: Nie jestem.

REIZSCHNEIDER: Wolli, jasne, że jesteś –

WOLKOWSKI: Nie kłam. I ja też muszę przestać się oszukiwać. Nie zobaczymy się już. Żegnaj.

REIZSCHNEIDER: Wolli? My obaj – my jesteśmy wespół – zespół.

WOLKOWSKI: Zespół? I tak nikt już do nas nie dzwoni.

Wolkowski odchodzi. Mokry Flapke wybiega z domu, Carmen i

Duesseldorf gonią go. Pani DUESSELDORF bije Flapkego.

FLAPKE: Niech mi pani da spokój!

DUESSELDORF: O, nie! Przez takie głupstwo nie popełnia się samobójstwa! Inni mają całkiem inne problemy i muszą dalej żyć!

FLAPKE: Pani całkiem odbiło. Niech mnie pani puści!

Flapke uwalnia się, biegnie w kierunku morza.

DUESSELDORF: Poczekaj chłoptasiu. Ja ci pokażę!

Rzuca się biegiem za nim.

CARMEN: Znaleźliśmy go w wannie. Ze skarpetkami w buzi.

SPECHT: Mam nadzieję, że ona mu daruje życie. – Carmen, wyszłabyś za mnie?

CARMEN: Zostałam zwolniona.

SPECHT: Jesteś znowu zatrudniona. Chodź, pomóż mi spakować walizki.

Specht i Carmen wchodzą do domu.

MARGIT: Napije się pan czegoś?

REIZSCHNEIDER: Nie. Niedobrze mi. Pani śmierdzi. Pani zapach arogancji i samouwiełbienia jest nie do zniesienia! To wszystko pani sprawka. Pani czuje się tu taka lepsza niż wszyscy! Boże święty, jak pani się tu w tym towarzystwie puszyła z dumy! Jak bogini, co ją za

karę zesłali na ziemię do zgniłej ludzkości. Dam pani jedną radę: niech pani zostanie sama. Niech pani unika ludzi i rozkoszuje się sobą.

MARGIT: Myśmy się już naprawdę spotkali. Hamlet. Wtedy w Hamburgu. Byłam asystentką reżysera.

REIZSCHNEIDER: Pani. Ja – nie, nie przypominam sobie.

MARGIT: Nie zwracał pan na mnie uwagi. Byłam małą, blondynową asystentką reżysera, która cały dzień robiła notatki. Zapisywała wszystko, co pan miał do powiedzenia. I każdego wieczoru, każdego cholernego wieczoru, z wypiekami na twarzy wszystko to jeszcze raz przetrawiała. Wierzyłam w pana. Uwielbiałam pana.

REIZSCHNEIDER: A ja panią zawiodłem. Zdradziłem Panią – Wolliego – samego siebie – i wszystkich dookoła. Nie będę już grał. *Chwyta butelkę, podchodzi do niej.* Weźmie mnie pani ze sobą? Jestem skończony.

MARGIT: To jest nowy początek.

Wyjmuje mu z ręki butelkę i gładzi go po twarzy. On opiera głowę na jej ramieniu.

REIZSCHNEIDER: Proszę... Wyjedziemy razem? Tak?

Wolkowski wraca.

WOLKOWSKI: Dzwonili z jakiejś produkcji. Chcą mnie i ciebie. Chcą nas obu.

REIZSCHNEIDER: Cóż...

K O N I E C